Wywiad z Jackiem Dukajem !

inne Planety

nr 3/4 /kwartalnik/ polska fantastyka: literatura + muzyka + filozofia

Jacek Sobota
„Wino i śpiew"

męska szowinistyczna świnia

Witajcie!

Kolejny, podwójny nr „IP" powinien być zaopatrzony w podtytuł: „Inne Kobiety". Byłby to najcelniejszy komentarz do damsko-męskiej tematyki, która przewija się na naszych łamach niczym refren. Rym, parafraza, autoironia - to oddaje bachiczno-ludyczną atmosferę, która towarzyszyła redakcji (oraz znajomym) przy składaniu „trójki". *A propos* - trójka jest liczbą magiczną. W symbolice chrześcijańskiej oznacza przezwyciężenie dualizmu (1+2=3) - powrót do pierwotnej jedności, zakłóconej rozbiciem na dwie części. Dualizm, dychotomia, dwubiegunowość - w kontekście planety Wenus kojarzą się dość mocno. Na przykład z Platonem. Ów starożytny filozof pisał o *androgyne* - mitycznych istotach zamieszkujących świat przed ludźmi. Były to stworzenia hermafrodytyczne, samowystarczalne, męsko-damksie, które nie musiały się łączyć w pary, gdyż stanowiły jedność. Dopiero później (za karę) bogowie rozłupali *androgyne* na dwie połowy - kobiecą i męską. Tak powstał człowiek - stwór dymorficzny, dwupłciowy. Miłość jest dlań siłą jednoczącą, która popycha do szukania „utraconej połowy"- jest więc tęskonotą za rajem pierwotnej jedności i szczęśliwości (typowym rajem utraconym). Druga konotacja Platońska jest taka, że filozof ów, zdaniem którego *Eros* jest największą siłą we wszechświecie (*vide* „Uczta"), miał do miłości stosunek nieco schizofreniczny: wyraźnie odróżniał miłość czystą, duchową (tzw. „platoniczną") od miłości zmysłowej, cielesnej, związanej z seksem. Z tej przyczyny Afrodyta (rzymska Wenus) składa się wg Platona z dwóch bogiń: miłości ziemskiej (*pandemos*) i miłości niebiańskiej (*urania*). A więc znowu dychotomia, która zostaje przezwyciężona, znowu magia liczby 3!

Sięgam do starożytnych antecedencji nie bez przyczyny. Trzeci (3/4) numer „IP" poświęcony jest bowiem - przynajmniej częściowo - temetyce damsko-męskiej, romantyczno-erotycznej, feministyczno-antyfeministycznej, więc planeta Wenus jest jego patronką. Jak wspomniałem, liczba trzy oznacza poszukiwanie utraconej jedności - a czymże innym jest miłość?... Mniejsza o to, że jest to poszukiwanie na zasadzie *„I still haven't found what I'm looking for"* (U2), i że najczęściej kończy się syndromem *„seek and destroy"* (Metallica). Być może wyjątki się zdarzają...

Miłość idealna istnieje - w sferze naszych marzeń. Osobiście uważam, że przepis na prawdziwą miłość jest prosty: należy połączyć w jedną istotę Narcyza i Hermafrodytę (znowu ta mitologia!). Ponoć wszystko można wyrazić wzorem lub wykresem - podam zatem wzór na ową miłość. Mi = Zd x Zc = 1 (gdzie Mi to „miłość idealna", Zd - „zjednoczenie duchowe", a Zc - „zjednoczenie cielesne"). Najwyższą wartością (u ludzi nieosiągalną) dla Zd i Zc jest 1. Iloczyn dwóch jedności daje Nową Jedność - doskonalszą, zrodzoną z jedności składowych. Prawda, że intrygujące?...

Mam nadzieję, że lektura trzeciego numeru „IP" będzie równie frapująca, i że przeczytane teksty skłonią Państwa do refleksji. Proza, wiersze, publicystyka - zapraszają Państwa do lektury pełnym głosem, a mnie pozostaje tylko podpisać się w ich imieniu.

Wojciech Szyda

Spis treści

Maciej Guzek **W imię nieważnych spraw**.....3
Tomek R. Barczyk, Wojtek Szyda **Damskie ciuszki**.....18
Jacek Sobota **Wino i spiew**.....19
Krzysztof Głuch **Kresy literatury**.....22
Wojciech Szyda **Prowokacje...**.....23
Planetarium.....27
Marcin Bronhard **Wywiad z Jackiem Dukajem**.....29
Tomek R. Barczyk **Magia chińskich...**....32
Paweł Ostrowski **Rozmyślania nad tlenem - wywiad z Markiem Oramusem**.....35
Maciej Guzek **Melodie Śródziemia**.....39
Wojtek Szyda **Wolski kinetyczny**.....41
Maciej Guzek **Coś się...**.....42

rys. na okładce Stach Sadowski

W imię nieważnych spraw

Maciej Guzek

(Najlepiej czytać przy muzyce zespołu LAIBACH)

I zbóje mają swoje prawa – Cyceron

Co człowiek ma, i czego nie ma, tylko sobie zawdzięcza.
Kiedyś bowiem rodzaj ludzki trwał u boku
Tego Który Jest
Rzeki płynęły mlekiem, ni głód, ni starość nie miały przystępu do ludzi.
Lecz skazy nasze nie pozwoliły wiecznie cieszyć się szczęściem.
Błąd za błędem przywiodły nas nad zguby krawędź..
A naszego Ojca na krawędź gniewu i rozpaczy nad swymi, ułomnymi dziećmi
Bo pojął, że ludzie nie dorośli by mieszkać z nim.
Najpierw muszą naukę przejść.
A potem wybiorą między światłem a ciemnością
Między blaskiem a cieniem.
I skończył się okres bezkarności.
I Ten Który Jest stworzył dziewięć światów.
Ten, w którym ludzie się rodzą nazwał Czemnokreiną.
Pozostałe światy przemierza dusza ludzka po śmierci ciała.
Gdy nie wiadomo jeszcze jaki los ją czeka.
Wtedy nadchodzi czas próby.
W owych dziewięciu światach grasuje Wąż.
Wróg Tego, Który Jest.
I czyha na słabych.

Bruno Werfurtczyk, Księga Straty

Prolog

Thomas

Zaczynała się właśnie któraś z tak powszechnych teraz wojen. To zaskakujące, jak krucha bywa iluzja bezpieczeństwa i jak często ludzie dają wiarę jej zwodniczemu powabowi. Kiedyś, jak myślę, historycy określą ów czas jako lata upadku imperium rangardzkiego i początku czegoś zupełnie innego. Rangard, owo wiodące prym w Czemnokreinie mocarstwo, zmierzało ku rychłemu i nieuchronnemu rozpadowi. Niewiele niosły z sobą dobrego roszady na najwyższych stanowiskach. Prowincje dryfowały ku samodzielności, czy to w imię interesów narodu, czy w wyniku irracjonalnie wysokich podatków, czy pod jakimkolwiek innym sztandarem. Po rangardzkiej potędze w nie został nawet cień. Ciekawe czy imperia zawsze upadają niespodziewanie i zdałoby się, bez żadnego dźwięku?

Ale o tym ma traktować moja opowieść. Takie refleksje nasuwają się same, gdy spoglądam wstecz, na świat mej młodości, z okien Uniwersytetu Bruneńskiego w Werfurcie.

Chwyciłem za pióro, bowiem wdzięczny jestem losowi, za to, że bezpardonowo wyrwał mnie z wygodnego, lecz jałowego i bezbarwnego życia. Wir zdarzeń uniósł mnie na jednym ze swych spienionych grzbietów i dopiero teraz, kiedy dobiegam sześćdziesiątki, dał

chwilę wytchnienia. Dopiero teraz pozwolił obejrzeć się za siebie i pewne sprawy przemyśleć. Dlatego właśnie spisuję ten pamiętnik.

Krople wosku spłynęły na stół, świeca już krótsza od samej siebie sprzed pół godziny o ćwierć, a ja tylko kilka mało istotnych zdań nabazgrałem. Dość tego! Opowieść czas zacząć!

◆◆◆◆◆◆◆

- Ty, Thome! Idziesz z nami do Złotej Podkowy? - usłyszałem. Podniosłem wolno głowę i wytężyłem wzrok, by przeniknąć panujący w knajpie półmrok. Wołali mnie przyjaciele z uczelni. Uniwersytet w Arkonie słynął ze studentów-sybarytów. Czknąłem, niespodziewanie dla samego siebie, czym wywołałem kaskadę śmiechu wśród czekających na mnie.

- Nic z tego. Zostaję tutaj - odparłem. Głowa zanadto mi ciążyła, by gdziekolwiek się ruszać, a blat stołu wydawał się wprost idealnym posłaniem.

- Jak to? Konfratrów opuszczasz? Nie godzi się! - krzyknął Ader, chwalący się najmocniejszą pośród nas głową.

- Ano tak! - odparłem, dość bełkotliwie, jak mniemam. - Ruszyć się nie mogę. Dołączę do was jak mi przejdzie.

- Zostaw go Ader. Widzisz, że chłopak przeholował - poparli mnie pozostali. - Do Podkowy niedaleko, odsapnie trochę, to sam dojdzie.

- Właśnie - przytaknąłem ochoczo. Wówczas powiedziałbym zapewne wszystko, byleby tylko zostawiono mnie w spokoju i nie kazano nigdzie chodzić. Moi koledzy doszli, jak widać do takiego samego wniosku, bo po kilku mało przekonywujących groźbach, co mi zrobią, jeśli nie pokażę się w Złotej Podkowie, zostawili mnie samego. Zapadłem w drzemkę. Zbudziłem się dość szybko i z zadowoleniem stwierdziłem, że czuję się znacznie lepiej.

Podnosiłem się właśnie z krzesła, kiedy przysiadł się do mnie jakiś niezajomy. Podawał się za żaka, takiego jak i ja. Niestety, nie mogę przypomnieć sobie ani jego imienia, ani twarzy. Pamiętam za to, o czym rozmawialiśmy.

- Zgłębiasz więc tajniki historii i prawa? - zagadnął. - Ha, mam przed sobą przedstawiciela przyszłej elity. Nad wyraz mi miło.

Żachnąłem się. Dawno nie słyszałem, by ktoś mówił o tym, czego się uczę, w tak pochlebnych słowach. Ja sam, przyznam, nie pałałem miłością do moich studiów. I w dodatku ta archaiczna, dystyngowana wymowa... Jedno muszę mu przyznać - sprowokował mnie do rozmowy.

- Elita - parsknąłem - To nudy straszliwe, nic innego. Jeno pieniądz z tego dobry będzie.

- Nudy? - uniósł brwi w teatralnym zdziwieniu. Przytaknąłem.

- Tylko, że na tym idzie nieźle zarobić, he, he...

- Pieniądze... To twoja jedyna motywacja?

- Nic innego - rzekłem - Bo w końcu tylko one się liczą. Tylko one są ważne. Wszystko inne można kupić. Uczucia, szczęście.... wszystko. Bo czy widzisz uczucia? Możesz je policzyć? Nie! Tylko pieniądz…

- Jesteś pewien? - zapytał. Jego taksujące,

uważne spojrzenie spowodowało, że mimowolnie zacząłem się zastanawiać. Minęło kilka chwil, nim odpowiedziałem.

- No...tak - bąknąłem, już mniej pewnie. Przez twarz mojego kompana, mimo że jak się domyślam, nie odpowiedziałem po jego myśli, przebiegł grymas ledwie dostrzegalnej satysfakcji. Rozmowa potoczyła się dalej, choć szczegółów jej nie pamiętam. Kolejne wypite piwo zaszumiało mi w głowie. Mocno. Zbyt mocno. Spuściłem powieki. Wir przed oczyma przybierał na sile. Czerń wywijała piruety całkowicie mnie dezorientując. A w uszach dźwięczały mi niewiadomo kiedy i gdzie usłyszane słowa „Tylko ty miałeś wątpliwości. Tylko ty."

Powoli zawroty głowy ustępowały. Ocknąłem się. Trudno mi określić, jak długo trwała niemoc, która mnie dotknęła. Wciąż siedziałem w karczmie, wspierając głowę rękami, opartymi o stół.

Tyle, że nie był to ani ten sam stół, ani ta sama knajpa. Po chwili zastanowienia poznałem to miejsce, choć odwiedziłem je tylko raz. Położona na przedmieściach oberża „Czarna Brama", nie miała najlepszej reputacji. Krążyły pogłoski, że jest ona miejscem spotkań najróżniejszych typów spod ciemnej gwiazdy. Ponoć często zaglądali tu również ci, którzy pragnęli zaznać rozkoszy cielesnych, a flirty i uwodzenie mieli za zbędny trud.

Zaskoczony, rozejrzałem się raz jeszcze. Specyficzne mury i panujący tu, być może ze względu na klientelę, a może z innych powodów, półmrok, upewniły mnie, że się nie mylę. Tylko jakim sposobem dotarłem w to miejsce? Nie pamiętam, bym na krok ruszał się od stołu, przy którym zawzięcie dyskutowałem z nieznajomym. Nieznajomy... Właśnie! On też gdzieś zniknął. Uświadomiłem sobie, że przy niedużym, dębowym stole siedzę sam.

Wtedy poczułem, że dookoła dzieje się coś, czego nie pojmuję.

Jesza

Zawszem był gaduła. Na starość mogę być szczery. Przynajmniej kiedy gadam sam ze sobą. A o to chyba idzie gdy się pamiętniki spisuje. Tak, stary to jużem jest. Dziwne, jakem też mógł dożyć setki. A ręka jeszcze do pisania zdatna. Wielu pewnie ma mnie już za truposza. Ano, niewiele się pewnie z prawdą omijają. Ha, już ładnych dwadzieścia lat z okładem będzie, jakem tułaczkę rzucił i odnalazł mi przypisane w świecie miejsce. Dawno karczmy Czemnokreiny nie widziały Jeszy Divomiła Młodszego. I pewnie nie zobaczą, bo wojaże mi zbrzydły... Ale jak na swoje lata, to i tak mam się nieźle całkiem. To pewnie piwo zrobiło - alkohol konserwuje, jak gadają. Zara, zara, kto tak mawiał? Niech mnie, rozum mi już stwardniał, nie mogę sobie przypom...

A, wiem! Ów młodzik, com go w Arkonie spotkał. Ile to lat? Ze czterdzieści? Cholera, czas gna jak niedopieszczona panna za przyrodzeniem. Czterdzieści lat! Tera to pewnie już osiwiał i odgrywa rolę mędrca. Młodzik rzecz jasna, nie czas. Po prawdzie szybko rozumu nabierał. I znaczenia. Bo jakem go wtedy spotkał, to był z niego hulaka. I zarozumialec. W dodatku zmierzło mu wszytko. Jeśli co nie było dziewką urodną albo napitku dzbanem patrzał na to z równą życzliwością, co na krowi placek. A znudzony był... Jakby on wówczas miał sześćdziesiąt wiosen w kościach, nie ja. Myślał, że zeżarł wszystkie rozumy, a Utraconą Domenę nazywał.... Szkoda zresztą papiór męczyć po próżnicy. Dość, że na oczy przejrzał, jak ze mną i z Kapturnikiem pojeżdżał.

Właśnie, Kapturnik... Ciekawym, czy jeszcze żywie. Niby to druid, ci żyją długo, ale on tak często łeb pod miecz wtykał, że pewnie kto mu szyję poharatał. Oby nie, choć dawno znaku życia nie dał. Bardzo, psia mać, dawno.

Gdym spotkał tego młokosa, Kapturnik też o się nie dbał. Ale to była inna sprawa... Nie przelewki... He, przynajmniej ciekawie się działo. Nie ma co gadać. Zara, ja tych historyj żem jeszcze nie spisywał? Niech no do notatek zajrzę... Nie? No to jazda, nim kipnę. Szkoda by stracić tak ciekawą opowieść. A nikt poza mną, głowę daję, owych wypadków tak dobrze nie pamięta.

Wracałem z północy, do Rangardu, jeno, prawdę rzekłszy, nie było to już jedno państwo, ale wiele pobuntowanych pipidówek. Ciężkie nowiny niosłem z daleka, a gorszych rzeczy

jeszczem się wywiedział w kraju. Na karkach miałem pogoń, a zwinni oni byli tak, co bym nie wiedział czy z przodu są czy za mną gonią. I nie wiedział żem. Chabety dwie pode mną padły, dwie, com od Harmonda dostał, ledwie zipały. Com gdzie wlazł, pamiętając, że przyjaciel tam mieszka, to pułapka i wrodzy. Niewielem miał czasu, a znaleźć mi było pilno Bruna z Werfurtu. Musiałem go znaleźć, nim go zabiją.

Tyle, że bez żarcia i picia nijak szukać, nijak podróżować. Więc kiedy ukazały mi się arkońskie przedmieścia, głodny jak sam diaboł, skręcił żem, co by knajpy poszukać. Zatrzymał mnie pierwszy napotkany szyld - „Czarna Brama"

Einard Velardczyk

Wszystko zaczęło się , kiedy do ojca przyjechali ci cudaczni posłowie. Miałem wówczas dwadzieścia kilka lat, ale daleko mi było jeszcze do ustatkowania się. Jako że byłem jedynym synem książęcym, opływałem w dostatki. I nie powiem, żeby mi było źle. Przywołując wspomnienia siebie z tamtych lat, myślę jednak, że dobrze się stało, jak się stało. Bo przez resztę życia szczęśliwy byłem, a przynajmniej bogactwo do cna mnie nie pochłonęło. Do takich wniosków doszedłem już dawno, wtedy gdy zetknąłem się z Brunem z Werfurtu i z Kapturnikiem. O tym byś panie chciał słuchać, czyż nie? Rad jestem, bo lubię dzielić się swymi wspomnieniami. A jest czym. Tyle, żeby zrozumieć całą historię, muszę zacząć od zdarzeń trochę wcześniejszych. Właśnie od wizyty posłów, o których wspomniałem.

◆◆◆◆◆◆◆

- Hej, Einard, Einard! - zawołał mnie miecznik mojego ojca. Schodziłem właśnie wąskimi, kamiennymi, schodami do zbrojowni, by przygotować eskortę dla przybyłych. Jak powiedział ojciec, posłowie mieli wyjechać jeszcze tego samego dnia. Na półpiętrze dopadł mnie ów niedomyty głupiec. - Co to som za ludzie, co do księcia przyjechali? Posły jakie? Bo mnie się widziało, że to Wiodący z Utraconej Domeny byli.

- No i co ci do tego? - burknąłem - To ojca rzecz i moja, nie sług!

- Ni, ni jam tylko tak pytał... - speszył się nieco - Ciekawym, czy ojcu miecz dziś potrzebny będzie? Bo te psubraty, ha z nimi ni ma co lepij się obchodzić...Różne oni głupoty o jaśnie wielmożnym księciu Velardzie gadali. A ludzie wierzają. Wielu wierza...

- Prawda - potaknąłem - Owszem, były waśnie między nimi a czcigodnym ojcem moim. Ale teraz przychodzą do niego ze sprawą. Ważną sprawą! Po prośbie, na której i oni zyskać mogą i ojciec. Więc lepiej nie męcz myślami twojej słabej głowy - nie mogłem powstrzymać się od złośliwości, widząc przed sobą tępą i pokorną facjatę służącego - ale zawołaj cześnika. Trzeba wypić za zdrowie naszych możnych gości!

Z przyjemnością patrzyłem, jak zmyka przede mną, całkiem zbity z tropu. Pewnie nic nie rozumiał. Nic dziwnego - za głupi. Jak wszyscy ci służący i urzędnicy. Zaraza na nich. Lecz muszę przyznać, że nawet ja byłem trochę stropiony, kiedy zobaczyłem ich w korytarzu, czekających na spotkanie z ojcem. Kilku znałem aż nazbyt dobrze. Wielokroć w ostrych słowach potępiali mego rodzica, mnie i dwór cały. Z wież niedalekiego Werfurtu, który był siedzibą tej dziwacznej religii - Utraconej Domeny, a znajdował się już poza naszym panowaniem, grzmieli wytykając nieobyczajność, krzywoprzysięstwa, okrucieństwa, pijaństwo i wiele innych zalet, w ich rozumieniu będących wadami. A co to ich, cholera, obchodzi, że ojciec ma tuzin nałożnic, a i ja na ich brak nie narzekam?

Jeszcze, żeby nie miało to nijakiego skutku, ale nie. U ludu posłuch mieli duży. Kilkakroć już trzeba było nowych służków szukać. Poddani patrzyli na księcia spode łba, daniny nie spływały jak trzeba... W oczernianiu naszego rodu przodował Bruno z Werfurtu, ich najwyższy hierarcha. Za nim słowa krytyki powtarzali pozostali kapłani Utraconej Domeny. Jak widać nie było powodów, by lubić, tych szurniętych dziwaków.

Tymczasem, jak się okazało, Wiodący, czyli najwyżsi, poza Brunem, werfurccy kapłani

przynosili wcale konkretną ofertę. Sensowną, rozsądną i zadziwiająco dobrze odpowiadającą naszym oczekiwaniom. Po godzinie rozmowy z poselstwem mogliśmy więc mieć nadzieję, że problem, którym stały się słowne ataki Bruna, zostanie rozwiązany. Raz na zawsze.

Gdy posłowie wyszli z zamku, gęby im się śmiały a i ojciec był w wyśmienitym humorze. Plan był istotnie dobry, a przy tym niewiele wymagał on od ojca wysiłku. Wystarczyło tylko, by obstawił wojami trakt i czekał. A w razie gdyby na gościńcu pojawił się Bruno... Cóż, kapłański immunitet, respektowany dotychczas przez mego rodzica ze względu na poklask, jakim cieszył się werfurcki kapłan między ludźmi, przeszedł do przeszłości. Zapewnienia Wiodących pozwalały nie bać się gniewu tłumów.

Gości, którzy przynosili tak dobre nowiny, trzeba było odprawić z honorami, mimo że osobiście nie budzili we mnie sympatii. Dlatego liczący dwudziestu ludzi oddział eskorty, prowadzony przeze mnie, czekał w pełnym rynsztunku na dziedzińcu. Jednak mój rajd miał i praktyczny cel. W drodze powrotnej mieliśmy odwiedzić wioskę, opieszałą w płaceniu trybutów. I pokazać innym, co czeka niepokornych.

Eskortowanie Wiodących było najnudniejszym z zajęć jakie zdarzyło mi się w ostatnim czasie. Same nadęte figury, które jeszcze musiałem zabawiać rozmową. Gadali jakby żywcem wyjętymi zdaniami z jakich mądrych w ich mniemaniu ksiąg. Obrzydlistwo, tfu, nudziarstwo...

Z radością tedy pożegnałem ich na granicy (do której nie było zresztą daleko), zawróciłem oddział i zjechałem z gościńca w góry, w stronę wioski.

Nie spodziewali się niczego. Krnąbrne barany nie pomyślały nawet, żeby wystawić czujki. Zapłonęły strzechy, popłynęła krew. Mężczyzn, bo dziewki były wyjątkowo słodkie. Jak na wieśniaczki rzecz jasna. Niektóre nawet specjalnie się nie broniły. Nie ma to jak chędożenie z malowniczą łuną pożaru w tle. Ale, jak gadali ci z Utraconej Domeny, co za dużo, to niezdrowo. Jeszcze by która z tych brudasek pomyślała, że darzę ją zbyt dużym respektem, ha, ha...

Wspiąłem się z powrotem na konia, podciągając w pośpiechu spodnie, gdy tymczasem moi podwładni spędzali owce w stado, by zagnać je do dworu. Trybut trzeba było ściągnąć! Sprawiedliwość musi być, ha, ha! Velardowa sprawiedliwość!

Nagle zza węgła płonącej chaty wybiegł stary dziad. Jak na takiego garbusa, ruszał się zadziwiająco żwawo. Podbiegł do mnie i nim się obejrzałem, plunął na mnie dwakroć, burcząc pod nosem coś jak "podlec". Ruszyłem za nim, lecz szybko skrył się w kłębach gęstego dymu. Nie mogłem zasrańca znaleźć! Phi, zresztą... I tak mnie tu zapamiętają. Zmrok się zbliżał, czas było wracać do zamku. Kto by się dziadem przejmował... Zwłaszcza, że żaden z wojów nie widział, że mnie obraził.

Przez następne kilka dni nic godnego uwagi się nie działo. Tyle, że ojciec dopowiedział mi to, czegom o jego układzie nie wiedział. Czas musiałem umilać sobie winem.

Kilka dni później książę wezwał mnie do siebie. Było południe, ciepłe i słoneczne aż za bardzo jak na początek wiosny. Ojcu jednak radosny nastrój się nie udzielił. Przywitał mnie marsowym obliczem i warknął:

- Szykuj wojów! Doniesiono mi, że na naszej ziemi, niedaleko zamku, arkońskie poselstwo na popas się rozłożyło. Pono mają wielu zbrojnych. Upiory Preveltaru na ich głowy! Pewnie znów chcą, bym złożył hołd temu baraniemu gównu, co siedzi na ich tronie. Zgłupieli chyba... Nie chcą się pogodzić z tym, że Bergia nie do Rangardu już należy, ale do nas, Velardów! Słuchaj - sciszył głos - Zajdź ich niepostrzeżenie, pierścieniem zbrojnych opasaj i wybij. Do nogi! A bacz, czy między nimi nie ma Werfurtczyka. Jeśli jest, upewnij się, że trup!

Uczyniłem, jak ojciec radził. Ci byli jeszcze bardziej zaskoczeni, niż wieśniacy kilka dni wcześniej. Straży nie wystawili, połowa w namiotach siedziała, ci co na zewnątrz byli, miody spijali, ani o mieczach myśląc. Rzeźba była okrutna. Zielona łączka otoczona drzewami zaczerwieniła się w okamgnieniu. I to nie dlatego, że maki na niej zakwitły, ha, ha. Białą flagę, co na środku obozu zatknięta była, najsampierw strąciłem, żeby ludzie nie gadali.

Rozejrzałem się po pobojowisku. Gdzieniegdzie jeszcze słychać było jęki, tu i ówdzie

ktoś się poruszył. Nic wielkiego; moi ludzie zajmą się tym. Słońce oślepiało. Zmrużyłem oczy, spojrzałem w kierunku lasu... i zobaczyłem znaną, kudłatą łepetynę. To ów dziad z wioski, który mnie opluł. Teraz stał pod drzewem i, dam głowę, naigrywał się ze mnie. Ale tym razem miarka się przebrała. Nie będzie litości! Ponagliłem konia ostrogami i ruszyłem w kierunku dziadygi. Rzucił się do ucieczki, ale ja byłem wyraźnie szybszy. Kiedy dobiegłem do krawędzi lasu zeskoczyłem z konia i pędem ruszyłem przed siebie. Przygarbiona sylwetka co i rusz migała między gałęziami. Z każdym krokiem byłem bliżej niego, ale nie mogłem go sięgnąć. Krok za krokiem. drzewo za drzewem, do czorta, jak długo może jeszcze umykać. Taki staruch?

Nagle świat wywinął nade mną kozła, zawirował i podskoczył. „Korzeń" - pomyślałem upadając na miękką, leśną ściółkę - „Cholera, dziad znowu mi zwieje". Myliłem się. Wcale nie miał takiego zamiaru. Usłyszałem kroki. Odwróciłem głowę i chciałem wstać ale obolałe ciało odmówiło posłuszeństwa. Stanął nade mną. Zgarbiony, brudny...

Zakręciło mi się w głowie po raz drugi. Znacznie mocniej, niż wtedy, kiedy upadłem. Dziad zniknął. Przede mną stał wysoki, jasnowłosy mężczyzna, w wieku trudnym do określenia. Twarz miał dziwną, Taka twarz…. Zamyślona, trochę smutna i te rysy. Trochę... nieludzkie. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, co to strach.

Mężczyzna blado się uśmiechnął.

- Widzisz? - rzekł - nie ten złapał, co gonił. Ach, wy próżni, zawsze dajecie się podejść w ten sposób. Wystarczy trochę podrażnić waszą dumę, nieprawdaż, Rzeźniku z Budvy?

Wstrząsnął mną kolejny dreszcz. Budva - tak właśnie nazywała się wieś, którą spaliłem jakiś tydzień wcześniej.

- Czy może raczej Rzeźniku z Barri, jeśli wolisz? Barri, gdybyś nie wiedział to owa łączka, na której w okrutny sposób dowiodłeś lojalności do rodzica. Jesteś z siebie dumny?

Surowy ton spowodował, że kiwnąłem przecząco głową, choć przed godziną jeszcze wyśmiałbym go.

- Kiedyś było tu święte miejsce, wiesz? Nie? Tak myślałem. Hmm, zasłużyłeś na śmierć. Aż za dobrze...- powiedział wolno nieznajomy.

- Kim jesteś? Kim jesteś, by mnie sądzić? - wycharczałem głosem drżącym ze strachu.

- Nie o mnie teraz rozmowa a o tobie. - uciął krótko. Nie miałem odwagi pytać po raz drugi. - Jak powiedziałem, śmierć to kara w sam raz dla ciebie. Kłopot w tym, że jesteś mi potrzebny...

Uspokoiłem się trochę. Zerknąłem na nieznajomego. Nie był uzbrojony. Czyli nic mi nie groziło. Przynajmniej na razie.

- Mam jednak inną myśl - ciągnął - Dostaniesz szansę, by odpokutować grzechy. Ale nie myśl, że obejdzie cię kara. Nie, do zamku, na którym mogłeś robić, co ci się żywnie podoba, już nie wrócisz. - „Chce mnie porwać" pomyślałem.

- Zadbam też oto, byś nikogo już nie zgwałcił, nie usiekł mieczem - mówił dalej tajemniczy mężczyzna - Ludziom źle się kojarzyłeś. I tak zostanie. Chociaż trochę się zmienisz... Aby uzyskać przebaczenie, musisz wiele wycierpieć, wiele zrobić. Gdy uznam, że spełniłeś dość dobrych uczynków, wrócę. Oddam ci dawną postać. Jeśli będziesz chciał, ma się rozumieć, bo niewykluczone, że obecna przypadnie ci do gustu.

Nie bardzo rozumiałem, o czym mówił nieznajomy. Czarownik czy co? Pytająco spojrzałem w jego oczy. Duże, jasne, w których nie było ani odrobiny złości.

- Co mam więc robić? - spytałem

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Musisz domyślić się sam. Do zobaczenia. - powiedział cicho. Potem, wciąż spoglądając na mnie, wymamrotał pod nosem coś, czego nie zrozumiałem. A chwilę później zniknął.

Przez jakąś minutę nic się nie działo. Naraz zerwał się wicher. Słońce przesłoniły ciemne chmury. Poczułem, że zapadam się sam w siebie. Tymczasem rozpadało się na dobre. W kilka chwil niedaleko mnie w zagłębieniu zebrało się trochę wody. Rwący ból minął. Zauważyłem, że mogę chodzić, mimo że wciąż czułem się dziwnie. Podszedłem do kałuży, nachyliłem się nad nią… i wowczas pojąłem, co stało się ze mną.

Las rozbrzmiał żałosnym, pełnym bólu krakaniem.

Kapturnik

Zagadki, niejasności… Do krocset! Muszę się spieszyć. Wiem, że się zbliża, nieomal czuję jego oddech. A wciąż nie wiem, kim jest. Każdy krok, najmniejszy stukot rozlegający się w ciemności lochów, w których mnie zamknięto, przyprawia mnie o palpitacje serca. Czuję krople wody na czole i nie wiem czy spadły z wilgotnych ścian, czy też są wytworem mego lęku. I ta bezsilność! Ach, gdybym mógł jeszcze czegoś się dowiedzieć, cokolwiek zrobić…

Od roku siedzę w mrocznych kazamatach, zapomniany przez przyjaciół, czekając, aż on (kto?) mnie znajdzie. Zostały mi tylko myśli, wspomnienia. W nich muszę poszukać rozwiązania. Wciąż myślę, że klucz kryje się w wydarzeniach sprzed czterdziestu lat, w słowach Bruna, wypowiedzianych do mnie tuż przed…

Przemyślmy to jeszcze raz.

Rozdział 1

Thomas

Moje rozmyślania przerwało głośne szurnięcie krzesłem. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem siedzącego przede mną mężczyznę. Nie był młody, czego dowodziły zmarszczki przecinające wesołe oblicze. Jednak moją uwagę przykuło odzienie przybysza. Wyglądało tak, jakby dorównywało wiekiem swojemu właścicielowi. Brązowa kapota, zarzucona na ramiona, naznaczona była śladami wielokrotnego cerowania. Nie inaczej przedstawiały się szare, poplamione spodnie. Jeśli chodzi o kapelusz, którego przybyły zresztą nie raczył zdjąć, siadając przy stole, to nakrycie głowy stracha na wróble prezentowałoby się w jego towarzystwie znakomicie. Wolałem nie spoglądać na buty. Jak się okazało, słusznie, niestety ciekawość zwyciężyła. Zmierzyłem staruszka krytycznym wzrokiem, lecz on wcale się tym nie przejął. Siedział sobie dalej naprzeciw mnie, pociągał piwo i mruczał jakąś skoczną melodię. Nie wytrzymałem:

- Czego? - burknąłem. - Jeśli chcesz wyżebrać u mnie piwo, to zgoda, ale oszczędź mi wyssanych z palca bzdur. Zrozumiałeś? - dodałem, bo przyglądając się przybyszowi doszedłem do wniosku, że może być cudzoziemcem.

- Nie mam ochoty na rozmowy.

- Ale ja mam - odparł staruszek, uśmiechając się bezczelnie. - Piwem żem jeszcze nigdy nie wzgardził, to i owo, któreś zaoferował weznę, he, he. Skoro żem się dosiadł, to i się przedstawię, choć ty młodszy, dobre wychowanie kazałoby tobie pierwej swe miano zdradzić – rzekł, i nie zważając na moje gniewne spojrzenie, wyrzucił z siebie jednym tchem:

- Jesza Divomił Młodszy, prawowity dziedzic wyspy Bracz, podstępem tronu pozbawion, a tera na uchodźctwie.

Ledwie słuchając mego nowego znajomego, odpowiedziałem machinalnie:

- Thomas Gheter, student tutejszego uniwersytetu.

Po dłuższej chwili dotarł do mnie sens słów przybyłego.

- Że co? - zapytałem - Nie słyszałem... Na królewskiego syna nie wyglądasz. Zresztą co to za głupoty... Masz mnie za idiotę? Zmiataj!

- Wielu kwestionowało me pochodzenie, owszem. Jeno świadków mam. Żywi jeszcze, chociaż starzy już. Oni mnie ze stryja szponów wyratowali i tu z północy przywieźli! Fakt, daleko mi tera do blasku, któren otaczał mój ród - ciągnął Jesza, jak gdyby nie słyszał tego co powiedziałem na końcu. - Takiż los wygnańca. Dawna dziedzina... Ach, stryj, gównozjad, haniebną zdradą władztwo był zabrał memu ojcu. Lecz żem nadziei nie stracił. O spadek po rodzicu się upomnę, bez ochyby! Nie żem jest z tych co ino o zaszczyty dbają. Jak Utracona Domena uczy, niewarte one wysiłku. Jeno żeby sprawiedliwość była, tego bym chciał.

- Co? - prychnąłem, mocno rozdrażniony. Utracona Domena? Banda półgłówków, kłamców i obskurantów. Jeśli masz zamiar mnie nawracać, to jazda stąd. Nie potrzeba mi tych bredni!

Utracona Domena, co wiedział każdy inteligentny człowiek była ostoją wstecznictwa i głupoty. Powstała podobno w roku, w którym wybuchła wojna Rangardu i sprzymierzonych

z nim królestw przeciw Iranionowi. Do Rangardu przywieźli ją pielgrzymi z północy. Szybko zyskała popularność, być może dlatego, że zamęt panujący w kraju, skłaniał ludzi do szukania jakiegoś oparcia. Nawet tak kruchego. Doktrynalną podstawę tworzyły zabobony wywodzące się z wytępionego zdałoby się, Starego Kultu. Kiedy rozsypało się Wielkie Stowarzyszenie Magów nie, było nikogo, kto chroniłby lud przed wrodzoną naiwnością. Herezje rozprzestrzeniały się jak dżuma po slumsach. Utracona Domena najszybciej. Jej przedstawiciele szczycili się swą prawością. Mieli zapędy by uczyć nas, jak mamy żyć. Nas!? Dla każdego myślącego człowieka było jasne, że chodzi tu o władzę, nic więcej.

Jednakże byłem studentem. Lubiłem dyskusje z innymi. Nawet jeśli mieli inne poglądy. Gdy więc Jesza ostro zaoponował przeciwko krytyce jego wierzeń, miast zezwać go, tudzież odpędzić od stołu, wdałem się w dyskusję. A muszę przyznać, że rozmówcą był doskonałym.

Jesza

Ależ z owego młodzika był mędrek. Lżył i mi, i wszystkim innym, których żem poważał. Do Bruna z Werfurtu przyczepił się jak giez jaki do konia. I nic, ino kąsał. Najprościej lżyć to, czego się nie zna. Młokos wiedział o Utraconej Domenie mniej niż nic. Mniej, bo to co mówił, to były łgarstwa, jakie rozsiewają różne zasrańce, by zmieszać z gnojem naszą zacną kongregację. Taki był z niego pożytek, że piwo kupił. Kilka lat wcześniej pewnie bym osła obił, za głupot powtarzanie, ino, że raz Bruno gadał, co by takich metod nie używać, dwa, że sił już nie tyle co po dawnych latach. A młodzian odżywiony był dobrze, duży i rumiany jak wieprzek jaki. Tyle, że łgarstw bez odpowiedzi zostawić się nie godziło. Nie pomny na to, że mi spieszyć się trza, wdałem się w gadanie. Zawsze tak, cholera, jak sobie chlapnę…

Thomas

- Co? - zawołałem - Ubóstwo? Ha, ha, ha… Łżesz! Wasze skarbce pękają w szwach. Koło Wiodących już trzeci ołtarz stawia w Arkonie. Orientujesz się może, jakie są ceny marmuru? A ten ma rzekomo być ozdabiany złotem i klejnotami. Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał - nie jestem przeciwnikiem bogactwa. Mierzi mnie tylko wasza hipokryzja. Pod płaszczykiem religii kapłani gromadzą olbrzymie majątki. Choć między nami mówiąc, całkiem niezły to jak widać sposób.

- Nigdy dość środków by sławić IMIĘ. - odparł wzburzony Jesza - Nie dla nas, ludzi marnych są bogactwa ołtarza. To przecie znak, że bogactwa wyrzec się możemy i poświęcić je na chwałę Tego Który Jest. Ale po prawdzie Koło Wiodących przesadza. Lecz zważ, że bez majątku nijak pomagać biednym, chorym, przez los skrzywdzonym. A tymczasem Utracona Domena buduje przytułki, szpitale… Powstają pierwsze szkoły....

- Bredzisz - przerwałem - W Rangardzie nie trzeba przytułków! A szkoły? Wpycha się w głowy waszą wiarę, bo nie wszystkich stać na naukę gdzie indziej. Dzięki temu za kilkanaście lat będziecie mieli zastęp wiernych a głupich fanatyków! Czego tam się uczy? Ile jest Światów innowymiarowych? Ile upiorów Preveltaru mieści się na czubku nosa złego człowieka? - zaśmiałem się drwiąco. To najwyraźniej ubodło mojego rozmówce.

- Nie wierzysz w Preveltar i inne światy? - spytał - Smutne... Ale ino tego mógł żem się spodziewać. To poradzę ci, na północ jedź. Powiedz tamtejszym, że upiry Preveltaru i olbrzymy z Jotheimu to łeż. Zarechotaj tak przed kimś, komu harpiuny całą zżarły rodzinę. On wtedy weźnie cię w pobliże jakiej Bramy. Może przedtem pokaże, co nieistniejące upiry zrobiły z ich krainą. A potem szczeźniesz.

- I tak ciebie przeżyje, Jesza! - rozległ się gruby głos za moim rozmówcą. Podniosłem głowę i ujrzałem trzech muskularnych mężczyzn. Byli sporo wyżsi ode mnie, a do ułomków nie należę. Jednego z nich znałem. Z widzenia i ze słyszenia. Grasant Octav był bohaterem wielu prawdziwych i zmyślonych opowieści, którymi straszyło się bynajmniej nie dzieci, a niesumiennych dłużników, konkurentów handlowych czy arkońskich urzędników. Na rękojeści jego noża widniało podobnież

dwadzieścia nacięć, każde na pamiątkę jednego stróża prawa, który ścigał Octava. Po dwudziestym nacięciu nie ścigał go już nikt.

Wcześniej widziałem najsłynniejszego arkońskiego zabójcę dwa razy. Nigdy z tak bliska.

Z oczu przybyłych wyzierała złość i zniecierpliwienie.

- Czego się gapisz, młody? - warknął najwyższy, a ja zrozumiałem, że poza nimi, Jeszą i mną nie ma w karczmie nikogo - Spadaj!

- Właśnie gnojku, zabieraj się stąd - rzekł Octav, sięgając po nóż. - To nie twoja rzecz, sprawa nie o ciebie idzie.

- Czekaj - powiedział pierwszy - Nie wiadomo, co stary mu nagadał. Lepiej i jego…- stwierdził, wodząc palcem po szyi.

- Nie - zaprzeczył Octav - Zlecenie było na jednego. Na Jeszę. Musiałbyś, hmm… dopłacić. A jak nie, to nic z tego.

- A niech tam, szkoda na niego grosza. Jest tak pijany, że niczego nie spamięta. - powiedział, a ja odetchnąłem - Jesza ważniejszy - stwierdził i zwrócił się do mojego towarzysza. - I co Jesza? Dałeś się złapać, jak spasły karp w sieć. A taki z ciebie wyga. Nie dotrzesz do Bruna. Ha, biedny stary... Kto go ostrzeże?

Jesza pobladł, mężczyźni mówili coś o zabijaniu, a ja, korzystając z tego, że chwilowo stracili mną zainteresowanie, chwiejnym krokiem ruszyłem ku wyjściu. Potknąłem się i by nie upaść, oparłem się o blat którejś z ław. Czułem, że albo stracę przytomność, albo zwymiotuję. Moja dłoń spoczęła na czymś chłodnym, co doskonale do niej pasowało. Co robiłem później, nie wiem. Oprzytomniałem na zewnątrz, dysząc ciężko i uświadamiając sobie, że trzymam w ręku okrwawiony nóż do dziczyzny.

Jesza

Nie ma co gadać, portki żem miał pełne strachu. A i czym innym mogły się zapełnić, jakby to trwało za długo. Możem nie bał się tak o siebie, chociaż to też, ale los Bruna mnie frasował. Pewno nikt inny, z jemu życzliwych się o zasadzce nie wywiedział…ino ja. Octav niebezpiecznie przycisnął mi sztylet do pleców. Poczułem się jak golonka w kotle. Krople potu kapały mi z nosa jak deszcz. Musiałem być czerwony jak burak. Ino modlić mi się zostawało. To i błagałem niebiosa o łaskę.

Aż mnie zatkło, jak żem obaczył, co młody wyczynia. Tu niby rejterada, a jak tylko się od niego odwrócili, to cap za knypa i huzia na nich. O taki rezon tom go nie podejrzewał. Bryganci takoż. Chłopak wrzasnął “Precz od mojego kompana” i nim co kto zdążył zrobić, Octav charchnął i krwią plunął, bo mu ostrze szyje rozjechało.

Tegom chciał. Sięgnąłem po skryty w onucy sztylet. Zaklinacz dostał nożem między żebra. Człowieka Wiodących prasnął żem kuflem w łepetynę, że aż gruchnęło. Podłodga zrobiła się czerwona i ślizga. Chwyciłem szczawika, bo się niemiłosiernie słaniał, i wybieglim z karczmy. Trza było wiać. I mi, i jemu też, po tym, co nawyrabiał.

Thomas

Krew? Skąd? I skąd nóż? Zbóje w karczmie, staruszek, z którym wdałem się w dyskurs... Wolno kojarzyłem fakty. Z rozmyślań wyrwało mnie silne szarpnięcie za ramię. Twarz, momencik, jak on się zwał?, ach prawda, Jeszy, niedawno wesoła i pogodna, przypominała teraz płótno.

- Bieżaj - warknął przez zęby - Prędko! Chyba, że poczekasz, aż ten, który przeżył,

sprowadzi tu z dziesięciu swoich, co? Mówię ci, certolić się z tobą nie będą.

- Ale jak? Czemu? - wymamrotałem, cały czas mając problemy z uporządkowaniem myśli.

- Co czemu? - staruszek wzruszył ramionami - Ukatrupił żeś najgroźniejszego arkońskiego zbója. Gwiazdę tutejszego półświatka, że tak powiem. Nim świt minie, jego kamraty przetrząsną każdy siennik, każdą szafę a nawet każdy wychodek, byle cię znaleźć. Poza tym pomógł żeś mi uciec. To wystarczający powód. Aż nazbyt.

Coś zaświtało mi w głowie. Bezładne obrazy ułożyły się w krwawą bijatykę. Przestraszyłem się nie na żarty. W porównaniu z tym, co zrobiłem parę chwil wcześniej, moje poprzednie knajpiane wybryki wydawały się igraszką.

- Ni ma co filozofować - mruknął włóczęga - Mus ci zniknąć z Arkony. Im dalej stąd, tym lepiej.

- Muszę? - wzruszyłem ramionami, nie pojmując jeszcze powagi sytuacji - A studia?

- Martwi nie studiują, pamiętaj. Człowieku, zabiłeś samego Octava. Nożem, którym się pieczone wieprzki kroi. Toż to hańba dla wszystkich tutejszych oprychów. Octav był jak ich patron, przywódca. Nie ma się co łudzić, znajdą cię, to rzecz pewna. A rok przerwy od ksiąg dobry by był dla ciebie.

Wciąż miałem wątpliwości. Byłem prawdę rzekłszy, nieco zdezorientowany.

- I tak nie mam dokąd uciec... - stwierdziłem - Nie wrócę przecież do domu, mówiąc, że przerwałem studia z powodu burdy w jakiejś oberży. Zresztą jak? Bez pieniędzy, rzeczy…

Mówiłem dalej, ale Jesza mnie nie słuchał. Myślał nad czymś.

- A niech tam. W końcu żeś mnie zratował - zaczął wolno - Jedź ze mną. W Werfurcie uniwersytet fundują. Tam przeczekasz. Tyle, że mi towarzyszyć, to będzie trochę niebezpiecznie. Inna rzecz, że tera ciężko o bezpieczny kąt. Niby Arkona to stolica, ino jej władza sięga na dwadzieścia mil poza nią samą. A potem - chaos, pełno miejscowych watażków i cały czas jakieś jatki. Ino że dla ciebie i tak będzie to bezpieczniejsze. Czekaj chwilę - rzekł i odszedł w cień. Kiedy wyszedł z mrocznych zakamarków, prowadził z sobą dwa konie.

-Siadaj - polecił, wskazując na szare, krępe zwierzę - Miałem go na zmiany. Trochę gruby, ale bieży całkiem szybko. I wytrzymały też jest.

- Ale rzeczy... - wybełkotałem zaskoczony.

- Nie ma czasu! - stwierdził kategorycznie Jesza - I tak za dużo żem zmarudził. Skakaj na siodło, albo znikaj.

Przystać na namowy Jeszy byłoby absurdem. Nie miałem najmniejszej ochoty ruszać w świat bez grosza, porzucając studia, przyjaciół i pewną przyszłość. Miałbym ruszyć w podróż, nie wiadomo dokąd, z prawie nieznaną mi osobą, w dodatku należącą do sekty, z której drwiłem? Prawda, moje życie było w niebezpieczeństwie, ale taka ucieczka była głupia, nieodpowiedzialna, nieracjonalna.

Inna rzecz, że wszystko, co działo się owego wieczoru, klasyfikowałem jako zdarzenia nie mające za grosz sensu.

Jesza

Szlag by to! Już przy biurku usiedzieć nie mogę. Krzyż, cholera, trzeszczy i boli jakby go kto żywcem ze mnie wyciągał. Tak, trza płacić, kiedy się było głupim i jeździło po wertepach, miast siedzieć na rzyci w ciepełku. Ilem to razy poobijał tyłek? Ha, dawny porządek jedną zaletę miał - dbało się wtedy o trakty. Tak przynajmniej gadają. Ale za mojego życia już wszystkie gościńce poniszczone były. Nawet te najważniejsze. Dajmy na to, ów, któren Arkonę z prowincją łączył, ten, któren był najkrótszą do Werfurtu drogą …

Ależ wtedy była jazda…

Thomas

Wiatr smagał mnie po twarzy, mierzwił włosy i potępieńczo wył w uszach. Wczesnojesienne słońce co i rusz wyglądało zza kłębiastych chmur, ale mimo, że dobiegało najwyższego punktu na niebie, nie grzało tak mocno, jak miesiąc wcześniej. Prawdę mówiąc, było mi zimno, i to mimo tego, że Jesza użyczył mi jakiejś swojej kapoty. Nie dość, że była stara i dziurawa, to nie do końca się w nią mieściłem. Nie narzekałem jednak, bowiem w niej było znacznie lepiej, niż bez niej.

Za sobą mieliśmy już kilka godzin jazdy i dwa postoje. Koń, którego przyszło mi dosiadać, nie był może zbyt rączy, lecz biegł równo i dobrze radził sobie z wybojami. Wielokroć spoglądaliśmy za siebie, lecz nie spostrzegliśmy niczego podejrzanego. Wyglądało na to, że nikt nas nie ścigał. Nie czułem zagrożenia, choć gościńce nie należały do najbezpieczniejszych miejsc na terenie Rangardu. Jeśli można pozwolić sobie na takie porównanie, to rangardzki krwiobieg, którym były trakty przeżywał ciężki i przewlekły zawał. Bandy zbójców były dziesięciokroć liczniejsze, niż wojska, mające przed nimi strzec i dużo lepiej od nich wyposażone. Słynna w dawnym Rangardzie, niezawodna poczta kurierska podupadała, niewielu bowiem chciało się podjąć tak niebezpiecznej pracy, a z tych, którzy się zatrudniali i wyjeżdżali na trasę, połowa nie wracała. Nie było można liczyć również na czarodziei. Magiczne teleporty, owszem, istniały, lecz należały do zwalczających się nawzajem czarodziejskich konfraterni. Stąd większość bądź to nie miała połączenia z innym, bądź była zablokowana, skoro druga strona magicznych wrót znajdowała się na wrażym zamku. Niektórzy z magów nie wahali się też działać ręka w rękę z rabusiami. Komunikacja więc zamierała. Kiedy zaś umiera komunikacja z prowincjami, prędzej czy później musi umrzeć i państwo.

A mimo to wolałem wytrząsać z siebie życie, pędząc obfitującym w nierówności traktem niż czekać w Arkonie na śmierć. Gnałem przed siebie i po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem się naprawdę zadowolony. Chłodne powietrze, czyste jak kryształ i tak samo ostre, rozsadzało mi płuca, wywiewało z głowy pozostałości wczorajszego picia. Mimo rad mego towarzysza, bym zakrył usta szalem, oddychałem łapczywie, ciesząc się niespotykanym w mieście luksusem. Mile płynęły jedna za drugą, kolejne zakręty zostawały za nami, a ja poczułem, że naprawdę chce mi się żyć.

I wtedy z młodego, brzozowego lasku wyłonili się zbójcy. Dwadzieścia kilka postaci odzianych w poprzecierane, ciężkie kapoty z grubej skóry, wyglądało bardzo, ale to bardzo groźnie. Brodate twarze nie zachęcały do zawarcia bliższej znajomości. Oni jednak, jak się domyślam, nie mieli zamiaru pytać, czego sobie życzę. Myśl o ucieczce, która przemknęła mi przez głowę, również nie była najszczęśliwsza. Mój rumak był zmęczony. Nie mógłby mierzyć się z końmi zbójców. Jesza zamilkł raptownie, i choć miałem nadzieję, że to właśnie jego spryt nas ocali, racjonalna część mojego umysłu śmiała się z naiwności serca.

Herszt bandy, który wydał mi się większym, niż był w istocie, powoli, nie spiesząc się, podszedł ku nam. Nie mogłem powstrzymać nerwowego drżenia rąk. Liczyłem w myśli kroki zbójeckiego rumaka, rozglądając się za jakimś herosem, który wyskoczy z krzaków, wytłucze wszystkich złych ludzi, a mnie puści wolno. Nic takiego jednak nie miało się stać.

- Jesza! - powiedział rozbójnik, lekko skinąwszy głową.

- Havr - rzekł mój towarzysz - Ostatnim razem twa wataha była dwakroć liczniejsza.

- Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, byłem myśliwym, nie zwierzyną.

Zdumiony, przysłuchiwałem się owej konwersacji. Jesza rozmawiał z hersztem bandy jak z dobrym znajomym. A zachowywał się przy tym tak, jakby zapomniał o moim istnieniu.

- Wiodło mi się nieźle - kontynuował rozbójnik zwany Havrem - ale od jakiegoś roku wszystko zaczęło się, za twoim przeproszeniem, pieprzyć. Zbyt wielu się nami zaczęło interesować. Zbyt są na mnie mocni. W zbyt dużej estymie mamy Bruna Werfurtczyka, a w zbyt małej Wiodących. Tak nam przynajmniej sugerowano. Sugerowano nam również, że gdybyśmy trochę zmienili poglądy, los, wyjątkowo ostatnio dla nas nieprzychylny, mógłby się odmienić.

Jesza przygryzł wargi:

- Coś na to rzekł? - spytał.

- Ano rzekłem, że będzie, co ma być, jak to z losem zawsze. A potem, że jestem człek w świecie bywały i posłów nie katuję ani nie ubijam, kopłem owego wysłannika fortuny w rzyć i z obozu wyrzuciłem. Więcej się nie pojawił.

Rozbójnik uśmiechnął się szyderczo, odsłaniając zaskakująco białe, iście wilcze zęby. Jesza wyraźnie zadowolony, skinął głową.

- A ten szczawik za tobą, kto to taki - zainteresował się mną zbójca - Trzęsie się jak galareta.

- On? - rzekł Jesza - To Thomas Gether. On życie mnie zratował w Arkonie, samego Octava ubiwszy.

Havr spojrzał na mnie z podziwem i niedowierzaniem zarazem. Jesza tymczasem odwrócił się do mnie, po raz pierwszy od dłuższego czasu i powiedział, uśmiechając się z ulgą:

- Dobra nasza. Jużeśmy bezpieczni.

Całe szczęście, że choć Havrowi i jego kompanii banitów ufać można. Jużem myślał, jak z lasu wyleźli, że i oni na mnie polują.

Dużo ich, po prawdzie owa wierność Brunowi kosztowała. Dwudziestu tęgich chłopa usieczon. Co chwila zasadzka. Inne watahy zbójeckie jakby się na Havra zawzięły a i królewscy jakby łacniej jego trop odnajdywali. Siedzieli my, to znaczy ja, młokos i kilku jeszcze innych, przy ognisku, a Havr opowiadał.

- Pośród tej całej zawieruchy, jaka się wkoło nas ruszyła, wiele się wywiedziałem. Wiem, jak się z jeńcami obchodzić, żeby gadali - wycedził, a ja żem się ucieszył, żem w ich skórze nie był - Niektórzy, prawda, krnąbrni byli bardzo, ale i z tymi się pogadało. Zahaczyłem też o miast kilka, sypnąłem groszem bardzo ciekawskim ludziom, i oto, co mi się w głowie ułożyło z otrzymanych informacji. - Zbójca przerwał na moment, by gardło winem przepłukać, a jam zerknął na młodego. Zdaje się, że cały czas nie mógł pojąć, dlaczego jeszcze żywi my są, a ja z Havrem gadam, jak ze starym kamratem.

- Oto okazało się - podjął Havr - że ktoś dał na nas zlecenie. Dostała je i wataha Geimarta, i szajka Gawrosza i wreszcie grasanci, którym Hengo przewodzi. Nie odmówili, mimo że zazwyczaj jedni na drugich w naszym fachu nie nastajemy. Nie odmówili dlatego, że zleceniodawca płacił cholernie dużo. A w wypadku afrontu uczynionego posłom i od nich mógłby się los odwrócić. Przy czym, warto zaznaczyć, że dający owe zlecenia był dziwnie podobny do tego, któregom dupę kamaszem przetrącił. Co do królewskich, to i oni czerpali informacje o naszych kryjówkach od owego osobnika. I to mnie zdziwiło. Bo skąd ów natręt mógł znać nasze najpilniej strzeżone tajemnice? Jest tylko jedno miejsce, w którym interesujący się nami może znaleźć potrzebne wiadomości. Każde nasze schronienie jest tam opisane ze szczegółami.

- Archiwum Utraconej Domeny w Werfurcie - wyszeptał żem zdjęty grozą, choć w świetle tego, co sam żem wiedział, niczego innego nie mogłem się spodziewać.

- Właśnie! - potaknął Havr - Dobrze kombinujesz, Jesza. I tu pytanie. Kto nas wydał? Bo niewielu, jak ci wiadomo ma do owych archiwów dostęp. Tylko Bruno i Koło Wiodących. Bruna od razu można skreślić.. Po pierwsze dlatego, że nasz czcigodny kapłan to nie intrygant. Jego słowo jest pewniejszą gwarancją niż pieczęć niejednego króla. Poza tym nawet gdyby chciał, nie ma środków na zorganizowanie takiej akcji. Nie ma też powodów. Co innego Wiodący. Ci na biedę nie narzekają, a chcieliby mieć jeszcze więcej. Ich pozycja w Utraconej Domenie jest silna, lecz Bruno ma za sobą masy. A to one przecież mają pieniądze. Tak więc o właściwy wniosek nietrudno. Wiodący chcą ująć znaczeniu Bruna, a co za tym idzie, wszystkich jego stronników. W tym i mojej watahy. I wszystko byłoby jasne, gdyby nie osoba owego gada, który się do nas przyczepił. Widzisz, późną zimą, po kilku chłodnych nocach, znudziło nam się siedzieć w jaskiniach. Myślę, wyjedziem do najbliższego miasteczka się zabawić. Jak pomyślałem, tak zrobiliśmy. Wchodzę do karczmy i co? Patrzę, siedzi ten, co los nam chciał odmieniać. Chociaż bardzo się spieszył, uciec nie zdążył. Wziąłem go na rozmowę, ale nie chciał gadać. Ani po dobroci, ani po złości. A złość była coraz większa... W pewnej chwili wyprężył się na kiju, na którym'śmy go przypiekali i szczezł. Nie rzekł nic. Zacząłem o niego rozpytywać tu i tam. Niewiele wprawdzie wiedziano, ale i to starczy by zburzyć całą układankę. Nie miał on bowiem nic wspólnego z Wiodącymi. Przeciwnie, niejaki Tahir był agentem wrogich Utraconej Domenie…

- Zaklinaczy Pogody - dokończył żem, wchodząć Havrowi w słowo. Zerknął na mnie pytająco.

- Nie było mnie w Rangardzie przez półtora roku z odkładem. Ale wracając zdążyłem wiele się dowiedzieć. I oto co ci rzeknę. Wiodącym Bruno był się już znudził. I jego poglądy też. Całkiem. To i nie marginalizować go chcą, ale pozbyć się, raz na zawsze. Ino, że za Brunem, jakeś powiedział, lud idzie. Trudno im będzie zyskać poklask i poważanie równe temu, jakie ma nasz czcigodny przyjaciel. Ale i na to remedium się znalazło. Niedługo Zborne Dni. Tam chcą wszystko rozstrzygnąć. Bruno na nie nie dojedzie. Zastąpią go Wiodący, którzy chcą zainscenizować, czarów używszy, przekazanie im władzy przez samego Siewcę. Na oczach kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Jak mniemasz, będą mieli po czymś takim mir u ludzi, czy nie? Wtedy będą z prawdami wiary robić to, co im się uwidzi. Ino jedna przeszkoda jest. Wiodący się na magii nie znają. I oto powód, dla którego z Zaklinaczami się byli skumali. Na razie skrycie. Ale potem… Aż strach myśleć. Tera Zaklinacze odwalają tę część roboty, z którą nie powinni być kojarzeni Wiodący. Ot i cała zagadka.

- To zbrodnia! - warknął Havr - Zabić Bruna, doktrynę zmieniać…Ale skąd, skąd to wiesz Jesza? Same te informacje starczyłyby na szafot dla całego Koła! Masz dowody? Bo i mnie, widzisz, podobne wieści doszły. W liście od jakiegoś życzliwego nam człowieka w Werfurcie, który o naszym istnieniu wiedział. Tylko, że nie dawałem im wiary. Do dziś. Jesza, gadaj, skąd o tym wiesz?

- Ano stąd - odparłem, wyciągając ze skórzanego mieszka pognieciony trochę list. - To pismo wysłali spiskowcy do Hermoda, Wiodącego okręgu Baff, tego najbardziej na północy, co z Albią graniczy. On, owszem do spisku należał, ino że na oczy przejrzał. Chciał Bruna ratować. Akurat żem tam zajechał, wracając, bom głodny był. On mnie zaopatrzył, wyprawił i konie dał lepsze, ino żebym zdążył. Ledwo milę ujechałem, a wieża, w której mieszkał, rozpadła się jak purchawa. Magia, nic innego…Tak, czy inaczej, dowód wystarczający, nie uważasz?

- Jesza - zaczął wolno Havr, a patrzał na mnie, jak sroka w gnat - Co jeszcze było w tym liście?

- Miejsce zasadzki na Bruna. Havr, Wiodący wiedzą, którędy wracać będzie.

Havr pokiwał głową i ni to pytając, ni stwierdzając fakt, rzekł:

- Rozstaje.

Thomas

Siedząc przy ognisku wysłuchałem i opowieści Havra, i słów Jeszy. Potwierdziły one tylko

moją opinię o Utraconej Domenie. Wydarzenia kreowała gra o władzę, wpływy. Osią wszystkiego były pieniądze. Przez moment miałem niewytłumaczalną, podskórną nadzieję, że Utracona Domena rządzi się inną logiką, ale to, co usłyszalem rozwiało moje przypuszczenia.

Dyskurs przy ognisku toczył się dalej, lecz przestałem słuchać. Zamyśliłem się. Jak to możliwe, rozważałem, by z takim przekonaniem jak choćby Jesza, głosić pogardę dla dóbr materialnych a jednocześnie brać udział w rozgrywce, której stawka jest jasna? Przejrzyste były też dla mnie motywy i Jeszy, i zbójców. W razie gdyby Bruno zwyciężył, nie omieszka zapewne stosownie się odwdzięczyć. Rozbójnikom zapewne znudziło się już uciekać bez ustanku przed pogonią. Chętnie schroniliby się pod opiekuńcze skrzydła jakiejś silnej organizacji. A wieczny wagabunda, jakim był Jesza, idę o zakład, szuka na starość ciepłej, bezpiecznej posadki.

Właśnie, Jesza… Choć niewiele o nim wiedziałem, zdał mi się postacią niezwykle interesującą. Z uporem godnym lepszej sprawy powtarzał bez ustanku, iż jest potomkiem książęcego rodu i prawowitym panem wyspy Bracz. Pomijając to, że o wyspie owej w ogóle nie słyszałem, mój nowy znajomy nie miał bynajmniej manier księcia. Mówił gwarą, a sposobem bycia przypominał raczej swawolnego barda, czy zbiedniałego szlachcica - hulakę… Choć, gdyby przyjąć jego wersję zdarzeń, tłumaczyłaby to wieloletnia tułaczka. Zbyt mało o nim wiedziałem, by go oceniać.

Rozmyślania przerwało mocne szturchnięcie.

- Ej ty - powiedział Jesza. - Musisz zdecydować, czy z nami idziesz.

- Ja? - zapytałem zdezorientowany. - A dokąd? Myślałem, że zmierzacie do Werfurtu.

- Słuchać było, nie spać, czy o arkońskich dziewkach marzyć! - zaśmiał się staruszek - Owszem idziem do Werfurtu. Ale najpierw o Bruna trza zadbać. Ino, że szukać go nie będziem. To my zdecydowali, że zasadzkę rozbijem. I się ciebie tera pytam, bo o walce żadnej jak żeś ze mną ruszał, to żem ci nie mówił.

Szybko zważyłem w myślach argumenty za i przeciw. Mimo wszystko powrót do Arkony wydał mi się bardziej ryzykowny.

- Jadę z wami - odparłem.

- No to dalej, spać, bo rankiem samym ruszamy.! Hej, Havr daj młodemu derkę jaką, niech się okryje i pod drzewem przyśpi trochę. A ode mnie naści, manierkę masz z gorzałką, łyknij trochę, a i cieplej ci będzie, i uśniesz prędko - powiedział Jesza, wyciągając z kieszeni płaszcza płaską, blaszaną buteleczkę. Odszedłem i siadłem pod drzewem. Któryś ze zbójców przyniósł mi gruby, ciepły koc. Oparłem się o pień i przymknąłem oczy. Jak na złość senność uleciała. Zostałem sam ze swoimi myślami. Nie na długo jednak. W ciemności usłyszałem kroki. Zobaczyłem przed sobą cień.

- Ty, młody - powiedział przybysz. Rozpoznałem głos Havra. - Nie śpisz jeszcze?

- Nie - odparłem - A o co chodzi?

- Przyniosłem ci coś… - zawiesił głos - Może ci się przydać. Już niedługo... - Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. Havr wyciągnął spod pachy coś długiego, owiniętego w szmaty.

- Weź - powiedział. Chwyciłem podarunek. Odwinąłem szmaty i ujrzałem miecz, w splecionej z rzemyków pochwie. Słabe światło ogniska odbiło się od wypolerowanego ostrza.

- Dzięki - wyszeptałem, nie wiedząc jak się zachować.

- Wiesza się go na plecach - poinstruował mnie zbójca - Dzięki temu jest wygodniejszy, kiedy się jeździ konno.

- Dlaczego? - spytałem - O ile się nie mylę, to bardzo droga rzecz. Kiedyś oglądałem podobne w Arkonie, na giełdzie uzbrojenia. Kosztowały majątek, mimo że były gorsze.

- Ty chyba nie mógłbyś zapłacić - stwierdził lakonicznie. Choć było zbyt ciemno by dokładnie zobaczyć twarz, wydało mi się, że się do mnie uśmiechnął. - Ten miecz może uratować ci życie. Albo któremuś z nas. Dlatego właśnie cena jest tak wysoka. Często mieć albo nie mieć dobrej tarczy znaczy być albo nie być. A tak naprawdę to życie się liczy, nie dukaty wydane na to, czy na tamto.

- Myślałem, że nie grasanci nie bardzo

dbają o swój żywot - powiedziałem - Że zależy wam głównie na łupach.

- Nie dbają o życie? - Havr zaśmiał się głucho - Bzdura. Gdyby tak było, nikogo z nas byś teraz nie oglądał. Nie masz pojęcia, ile skłonni są wydać niektórzy, byle upewnić się, że nic im nie grozi. Fakt, niebezpieczeństwa trochę nam spowszedniały. To przez tryb życia. Ale cóżby nam z łupów przyszło, gdybyśmy byli martwi? Pieniądze to nie cel, dla którego można życie poświęcić.

- A jednak poświęcacie - odezwałem się, trochę zbyt śmiało. - Wprawdzie nie swoje, ale tych, których rabujecie. Tego właśnie nie mogę pojąć. Twoja szajka, czy jak wy mawiacie, wataha, rabuje, pali, zabija. A mimo to pomagacie Utraconej Domenie, stoicie murem za Brunem. Bruno pewno nie pochwaliłby tego co robicie. Chyba, że nie jest taką chodzącą doskonałością, za jaką go uważacie. Wybacz, lecz znajomość z wami rzuca cień na jego osobę. Chyba, że jemu i Wiodącym chodzi o jedno - panowanie nad ludźmi. - Przygryzłem wargę. Zorientowałem się, że trochę się zagalopowałem. Poczułem, jak zimny pot zlewa mi czoło. Rozbójnik, byłem o tym przekonany, wścieknie się i rozpłata mi głowę, nim zdążę się zasłonić dopiero co otrzymanym w darze mieczem.

Nic takiego jednak nie miało miejsca. Jeśli obraziłem Havra, nie dał po sobie tego poznać. Westchnął tylko i powiedział:

- Zgadza się, jesteśmy rabusiami. Tak los się ułożył. Nie zawsze tak było... Ja, na ten przykład, byłem matematykiem. Studiowałem na uniwersytecie, tam, gdzie ty. Ale nie wiodło mi się w życiu, niesprawiedliwie oskarżon z Arkony musiałem uchodzić... Z kilku przypadkowych ludzi zawiązała się wataha. Fakt, łupimy. Ale nie zabijamy, kiedy nam ochota przyjdzie, nie czerpiemy z tego przyjemności. Wierz mi, nie jesteśmy tacy sami, jak ów szaleniec, Octavo. Nie jestem naiwny i na tyle bezczelny, by to, co robimy, nazywać dobrym, o nie. Ale właśnie nasza z Brunem zażyłość sprawia, żeśmy nie do końca źli. Pytasz, jak to jest? Ano tak, że jak złupimy jakiegoś bogatego kupca, połowa idzie na Brunowe szpitale, przytułki, szkoły. Jako anonimowe datki, rzecz jasna, bo gdyby czcigodny nauczyciel nasz wiedział, skąd pieniądze są, nie wziąłby ni monety. Nauki Utraconej Domeny są surowe. Nie zawsze udaje nam się ich dotrzymywać. Ale chcemy. Nie dopatruj się w każdym działaniu, w każdej znajomości, prostego przełożenia na korzyści i zyski. Fakt, Arkona tak wychowuje, ale to nieprawda. Z tym, że cień rzucamy na jego osobę, to bzdura. Zna nas, owszem i traktuje, jak zbłąkane owce, które dla owczarni można i trzeba uratować. A to, co robimy dla niego, jest czysto bezinteresowne. Nie oczekujemy w zamian niczego. Nawet sympatii, bo nie zyskalibyśmy jej, gdyby wiedział, jak zdobywamy pieniądze.

- Czemu więc mu pomagacie? - spytałem, nie mogąc dopatrzeć się w tym co mówił zbójca, krzty logiki.

- Bo uważamy, ja i moi ludzie, że to, co robi, jest dobre. I warte pomocy, nawet za cenę potępienia. Nie wierzysz, co? - zaśmiał się - Może zmienisz zdanie, kiedy go zobaczysz, kiedy z nim porozmawiasz. To niezwykły człowiek... A teraz śpij. Wyjeżdżamy rano. Musimy się spieszyć, bo jeśli się spóźnimy, nikt nie będzie miał okazji, by z Brunem zamienić choć słowo i błogosławieństwo otrzymać.

s m d

Maciej Guzek jest studentem IV roku prawa UAM w Poznaniu i członkiem KF Druga Era. Zyskał uznanie jako to jeden z najbardziej kompetentnych członków sekcji metalowej klubu. Literackie zainteresowania Maćka obejmują głównie fantasy - w tym gatunku próbuje swoich sił, czego przykładem prezentowany fragment mikropowieści. Sam autor swoje utwory określa mianem „deofantasy". Oceńcie sami!

Damskie ciuszki

(tekst dedykujemy panu Andrzejowi z baru mlecznego „Kmicic")

rozmawiają
Tomasz R. Barczyk i Wojtek Szyda

(Pisane przy muzyce Roberta Frippa & The League of Crafty Guitarists)

- Odpowiadając na twoje pytanie...
- Ależ ja go jeszcze nie zadałem
- Nie szkodzi. Znamy się na tyle dobrze, że rozumiemy się bez słów.
- Raczej nie rozumiemy się bez słów.
- Nie przerywaj. Dobrze wiem, że chciałeś zapytać, co znaczą dla mnie damskie ciuszki.
- Właściwie to nie, ale skoro poruszyłeś już ten temat, to powiedz.
- Odpowiem ci bardzo chętnie, ale powiedz mi najpierw: ile miałeś w życiu kobiet?
- Nie odpowiem na to pytanie, ponieważ jest cholernie głupie. Powiedz lepiej, ile ty miałeś kobiet.
- 3/4.
- Słucham?
- Nie, nie – nic takiego. Wróćmy do damskich ciuszków. Co masz w tej chwili na sobie?
- Chodzi ci o damską bieliznę?
- Przecież wiesz, misiu.
- To moja prywatna sprawa. Porozmawiajmy lepiej o pogodzie.
- Dobrze. Co najchętniej zakładasz w taką pogodę jak dzisiaj? (jest **parno i deszczowo**)
- Płaszcz nieprzemakalny.
- A co pod spodem?
- Nic.
- Co??!!
- Czy ktoś tu powiedział „nic"? Ja nic takiego nie powiedziałem. Powiedziałem „ni"; no wiesz: „ni, ni, ni, ni, ni..."
- Przestań. Nie mów tego. Zmieńmy temat. Powiedz lepiej – czy jesteś człowiekiem światowym?
- Taak...
- To znaczy, że bywałeś tu i ówdzie?
- Taaak...
- I... byłeś już z mężczyzną?
- Nie.
- Na pewno?
- Oczywiście. Każdy, kto twierdzi inaczej jest pedałem!
- Ja nie jestem.
- Jak to? Przecież mówiłeś...
- Ja? Ja nic nie mówiłem...
- Dobra, zmieńmy temat. Podobno masz w torbie 15 metrów kabla antenowego.
- Nigdzie się bez niego nie ruszam.
- Dobra, zmieńmy temat. Słyszałem, że często zastanawiasz się nad sensem życia?
- Tak, to prawda.
- No to zmieńmy temat. Dawno nie było nic o damskich ciuszkach.
- Nareszcie! Myślałem, że już nigdy o tym nie wspomnisz.
- No to zmieńmy temat.
- Dobrze. Jak sądzisz: dlaczego ludzie, którzy czytają fantastykę są lepsi od innych?
- Nie wiem, ale strona nam już się kończy.
- To co, idziemy do mnie?
- Dobra.

„Kobieta jest istotą wyższą"
Jane Fonda

„Kobieta jest istotą niższą, zbyt uległa jest swym organom"
Honoriusz Balzac

Jacek Sobota

WINO I ŚPIEW

Legionom kobiet, które słabo mnie znoszą i tym nielicznym, które właściwie mnie lubią - autor.

Powiadają, że trzeci numer „Innych Planet" poświęcony ma być Wenus; nic w tyn jednak pewnego, ponieważ redakcja dobiera ciała niebieskie według tajemniczego klucza - nie jest to chyba nawet ruch szachowym skoczkiem po Słonecznym Układzie. Zaryzykuję. Wenus, co wiadomo, symbolizuje tzw. „pierwiastek żeński" w przyrodzie, takoż miłosne uniesienia oraz miedź. To ostatnie - nieistotne. Zorientowanym mitologicznie Wenus musi kojarzyć się z biciem piany. Pragnąłem zatem napisać tekst romantyczny, wzniosły, poświęcony, bo ja wiem, kącikowi ust pewnej znajomej pani; padałyby tu sformułowania wyszukane i wykwintne (jak: „postawiła język w kącie" albo „nie był to bynajmniej kąt prosty"). Niestety, Hegel pospołu z Lewandowskim nie pozwolili mi na to. Obaj bezspornie udowadniają, jakoby życie bez konfliktu było herbatą bez esencji, kaktusem bez łodyżki, felietonem bez sensu wreszcie; natomiast teza bez antytezy nigdy nie doprowdzi do syntezy! Szczególnie Lewandowski wydał mi się przekonujący (mam na myśli jego tekst z pierwszego nr „IP" o fandomowych kłótniach). Od Konrada wiem, że jeżeli dowolny autor SF nie zdenerwuje się przed przystąpieniem do pisania na innego autora, to nigdy nie otrzyma nagrody Zajdla. Może zadziałać sprzężenie zwrotne - i obaj dostaną. Lem na przykład jest człowiekiem spokojnym. Natomiast Ziemkiewicz oczywiście nagrody kolekcjonuje, a to za sprawą Parowskiego, z którym uwielbiają się nie znosić.Zasada korzyści płynącej z dialektycznego konfliktu nie obowiązuje wyłącznie w środowisku pisarzy SF, wręcz przeciwnie - z powodzeniem przenosi się na resztę Wszechświata. I w tym momencie przechodzę do istoty tekstu, a będzie on o wojnie płci.

Niejaki Gray napisał niewiele wartą, lecz dobrze się sprzedającą książkę o kobietach z Wenus, którym trudno jest się porozumieć z mężczyznami z Marsa (ja jestem z Olsztyna).Książka słaba, jednak teza w niej postawiona dość interesująca. Rzeczywiście, jakoś do siebie kobiety z facetami nie przystają, ni mentalnością, ni rozumem, natomiast randki zaczynają przypominać dreszcowce SF, gdzie dochodzi do kontaktu obcych cywilizacji. Czeski pisarz Milan Kundera w powieści „Nieznośna lekkość bytu" zamieszcza dowcipny słowniczek: każda nazwa inne ma dla kobiet i mężczyzn znaczenie, zatem międzypłciowe porozumienie możliwe jest jeno na poziomie podstawowym.

Do wojny światów nie dochodzi, gdy funkcjonuje symbiotyczne uzależnienie - do niedawna tak między kobietami a mężczyznami bywało. Sytuacja jednak zmienia się dość szybko. Główny męski atut (nie licząc rozumu, ale o tym za chwilę), czyli przewaga fizyczna staje powoli ewolucyjną zaślepioną uliczką, albowiem - o paradoksie! - na skutek samczej wynalazczości i technologicznego drygu kobiety znakomicie sobie radzą współcześnie na typowo męskich stanowiskach pracy (Włączywszy w to obronność). Modne jest ostatnio poddawanie w wątpliwość naszych intelektualnych przewag. Okazuje się bowiem, że mózgi mamy wprawdzie większe, ale od damskich znacznie mniej (relatywnie oczywiście) efektywne. Gdyby panie posiadały mózgi gabarytowo po-

równywalne, biłyby nas intelektualnie na - nomem omen - głowę. Widać z tego, że niesprawiedliwa natura zastosowała u facetów ekstensywną gospodarkę szarymi komórkami - coś jakby lampowe komputery. Tymczasem u kobiet mamy gospodarkę jak najbardziej intensywną, jak również daleko posuniętą miniaturyzację osprzętowania - rzecz idzie o tak zwaną substancję szarą, której panie mają od nas proporcjonalnie więcej. Stąd zapewne biorą się te zastępy genialnych szachistek, które doprowadzają Kasparowa do rozpaczy przy dziesiątym posunięciu, te tabuny Einsteinów w spódnicach, owe łany Dostojewskich bez brody.

Gorzej, że lada dzień staniemy się zbędni przy prokreacji (klonowanie itd.), a i przyroda jakoś niekorzystnie nas reguluje pod tym względem: coraz gorzej z płodnością kolejnych pokoleń mężczyzn. Może mieć to związek ze zwiększoną ilością estrogenu, z pomocą którego panie poprawiają sobie urodę oraz przedłużają życie. Podobno na Florydzie, gdzie jest duże stężenie bogatych emerytek, rzeczone estrogeny uwstecznią płciowo samce tamtejszych aligatorów. Uczulam ruchy ekologiczne - proszę dać spokój wielorybom, one mają dość i stąd ich samobójcze próby; proszę raczej zwrócić uwagę na aligatory z Florydy!

Coraz też więcej mówi się i pisze o wspaniałościach systemu matriarchalnego (w SF często o tym wspomina Scott Card - jego przewidywania stały się tak przewidywalne, że przestałem czytać książki Orsona). Profesor Waal daje przykład małp bonobo (to gatunek szympansa - przyp. red.), które właśnie w matriarchacie żyją trudniąc się głównie radosną kopulacją - stąd też płynie ich niespotykanie przyjazne usposobienie. Przypominam, że niektórzy ludzie próbowali już żyć według chwalebnych wskazówek małp bonobo - choćby w hippisowskich komunach. Czyż nie z tej to formacji intelektualnej wywodzi się prezydent Clinton?

Prawda jest gorzka - natura prawdopodobnie postanowiła mężczyzn wytrzebić. Niedługo obecność faceta na ulicy stanie się równie wielką niestosownością, jak przechadzka dinozaura po ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Problemem natychmiast zajęła się, rzecz jasna, fantastyka. Jak wiadomo, specjalnością tego rodzaju literatury jest paranoiczne wyostrzenie tematu. Z tej to właściwości biorą się monstrualne ostracyzmy - całe populacje na kartach utworów SF idą pod nóż. James Tiptree (to pseudonim literacki pani Sheldon) w opowiadaniu „Sposób na muchy" każe mężczyznom dokonywać masowych mordów na kobietach. W odpowiedzi Andrzej Zimniak odwraca sytuację w tekście „Pęknięty dzban". Jacek Dukaj („Wielkie podzielenie") podąża już przetartym szlakiem - kobiety, na skutek wirusa, doznają psychopatii i wyrzynają facetów; w

finale matka zasadza się na syna nawet. Ostrą metaforę wyzysku mężczyzn przez kobiety daje Żerdziński w „Malarzach" - innoplanetarni nieziemcy przypominają jako żywo ludzi - jednak pod względem umysłowym to idioci. Mężczyzni mają talent kreacji rzeczywistości - czynią to jeno na skutek kopulacji z kobietami. Te oddają się wybranym, pozostałych wyrzynają. Obyczje łagodzi Białołęcka z „Okręgiem Pożeraczy Drzew", tekstem umiarkowanie feministycznym - to łagodna pochwała matriarchatu, a przy tym manifest korzyści płynących z płciowej kooperacji. Antyfeministycznymi tekstami popisali się z kolei Ziemkiewicz („Szosa na Zaleszczyki") oraz Szyda („Psychonautka") - u obu autorów paskudnie sportretowane feministki opowiadają się za aborcją, co może doprowadzić do likwidacji nienarodzonego mesjasza.

Na tym kończę. Nie chcę krakać, ale mam wrażenie, że za jakiś czas z trzech podstawowych przyjemności, jakie do tej pory natura nam dostarczała zostaną tylko dwie: wino i śpiew. Łabędzi, rzecz jasna.

Jacek Sobota

PS. Pani Dorota Czajkowska-Majewska w tekście „Dziecko wielu ojców" („Polityka" 17/99) pisze o przewagach intelektualnych kobiet - podobno na sześć studiujących kobiet w USA przypada obecnie tylko czterech mężczyzn. W tym samym tekście pani Czajkowska pisze, że studentkom z Uniwersytetu Harvarda płaci się 50 tys. dolarów za jedno jajeczko, przy nieporównywalnie mniejszych cenach za męskie plemniki z tegoż uniwersytetu. Oto odpowiedź! Mężczynom nie opłaca się studiować.

POETICON

Jakub Chabin

Jak dwa

Czy odnajdę ziemi słodka grudkę ?
Czy odgonię szafirową toń tęsknoty ?
Uścisnę mocno twą dłoń szczuplutką
Ty szeptem zgodę dasz na pieszczoty

I będzie nam ziemia oceanem
Cichym śpiewem, łąką gniewnych ptaków
Ujarzmimy fale ociężałe
Rozpoznamy zapach naszych kwiatów

Odnajdziemy świat miłości wart
Zmieszamy jaśminu woń i mięty
Okryjemy się firankami warg
Gdy wiatr zadrości zmrozi nam rzęsy

Odciśniemy twarze w miękkiej trawie
Wyruszymy szlakiem pomarańczy
Wypuścimy w niebo oczka pawie
Zatańczymy, jeśli sił nam starczy

Pobiegniemy, by przestraszyć słońce
Wyobraźnią zawstydzimy tęczę
I będziemy jak dwa warkoczy końce
I jak dwa zgubione w nocy świerszcze...

Miniatura

Miłość nie daje roszkoszy
Miłość żąda
Wymaga
Miłość zawsze pyta się
Czy na pewno ?

Krzysztof Głuch

NIERÓWNO Z PRAWEJ

W literaturze, oprócz fantastów, mamy chyba jeszcze jeden znaczny „fandom", czyli grupkę ludzi, którzy mocno przylgnęli do swych gustów i czują się szalenie odpowiedzialni za tę swoją umiłowaną część pisarstwa. Łączy ich zamiłowanie do tekstów mających „równo z lewej strony, nierówno z prawej" (jak był Darek Foks wymyślił), czyli poezji. Jak wiadomo, fantaści czytają tylko to co równe z obu stron, no i nazmyślane musi oczywiście być.

Pozwalam sobie miłośników poezji nazwać „fandomem", bo choć nie znają się jeden z drugim, to tworzą specyficzną wspólnotę. Sami poeci znają się dość dobrze. Kolegują się, czasem wręcz do „korupcji", pisząc jedni o drugich. Czynności czytania i pisania w tej branży mają dość stadny charakter. Pisarze bowiem są w stanie (z racji niewielkiej objętości) zapoznawać się z tekstami pozostałych. Czytelnik zaś nie jest takim zwykłym biernym odbiorcą, gdyż dziś aby zrozumieć poezję, wymagane jest żmudne szkolenie, wkuwanie na pamięć setek kontekstów i metafor. Czynność czytania wiersza przypomina bardzo czytanie kodu programu komputerowego, który napisał ktoś inny. Biega się po tekście w górę, w dół i próbuje się zgadnąć, co ta zmienna oznacza, po co ta procedura w tym miejscu itd. Z tą różnicą, że istnieje teoretyczna możliwość zrozumienia każdego programu, natomiast wiele osób pisze wiersze nie znając zasad ich czytania, naśladuje jedynie niezrozumiały dla nich bełkot. To tak jakbym trajkotał „gwana kabaka tabana..." i przekonywał znajomych, że to suahili, a ci próbowaliby wczuć się w melodykę języka i mnie zrozumieć. Tak właśnie zachowuje się wielu odbiorców poezji. Właśnie z powodu niedostępności poezji, jej fanów uważam za bractwo przeszkolonych zapaleńców, z własnej woli oddających się harówie nad wersami.

Podobnie do fantastyki, poezja ma swoje pozaliterackie uciechy. Wiem że to niemoralne, ale fantasta w czasie wolnym od czytania może malować figurki. Podobnie poeta robi masę rzeczy oprócz pisania. Mistrz w tej dziedzinie, Tadeusz Różewicz, twierdził że poeta walczy o oddech, opuszcza ojca i matkę, wierzy, kłamał..., masę czynności wymyślił Różewicz. Miłosz dodał, że poeta pamięta, Herbert, że poeta milczy. To nie są do końca kpiny. Poeci traktują swoje wiersze śmiertelnie poważnie. To nie są po prostu opowiadane historie, albo piękne pieśni. Poezja to jakiś wielgachny twór mający ogromną misję zbawienia świata. W *Piesku przydrożnym* Miłosz pisał: *Szczególna chwila w wielowiekowych dziejach religii! Opatrzność postanowiła, że stępi ostrze kazań i teologicznych traktatów, a pozostanie tylko poezja, jako instrument świadomości człowieka myślącego o rzeczach ostatecznych.* Inny cytat z tej książki: *Oczywiście, że poezja jest modlitwą. Do kogóż innego moglibyśmy się zwracać* (poetka Jean Valentine). Fantaści dalecy są być może od podobnej euforii, ale też niekiedy chcieliby mieć udział w czymś „dużym". Olga Tokarczuk na przykład (może nie pisze SF, ale to stara fanka): *Spotkałam się kiedyś z określeniem SF jako filozofowania dla ubogich. To dobrze, pomyślałam sobie, ponieważ większość ważnych rzeczy była mówiona właśnie do ubogich.* Tak jak Różewicz w poezji, kapłanem w fantastyce zdaje się niekiedy być Maciej Parowski: *literatura wysoka przechowa*

ducha swych szczytnych powinności w gatunku popularnym, jakim jest fantastyka. Przyznaję, że też chciałbym, żeby się fantastyce wszyscy kłaniali.

Cóż, jeśli SF ma być w lepszej kondycji od poezji, to należy wspomnieć, że „w wierszach" jest sporo zamieszania. Nie tak łatwo odróżnić „nowoczesną poezję" od grafomanii. Spory o to czy wiersz *Flupy z pizdy* wyśmiewać czy doceniać, są trudne. Mniej efektowny, ale siejący zamęt, jest problem z tymi, co swoje wiersze śpiewają. Oczywiste jest, że średni tekst, złączony ze wzruszającą muzyką może robić wrażenie nie wiadomo jak wyrafinowanej liryki. Stąd niekiedy w panteon poetów wstawia się Dylana, Morrisona, Kaczmarskiego, Budzyńskiego... . To tak jakby Marek Oramus pisał mierne książki ale za to po mistrzowsku malował figurki i za całokształt dostał Zajdla. Są więc z niedostępnością poezji problemy. Choć uczy się jej w szkołach, to powodzi się jej jak piłce nożnej w Stanach, którą też przecież propagują tam w szkołach. Kiedy Miłoszowi marzy się religia mówiąca językiem poezji, to zastanawiam się, czy on dobrze życzy religii.

Myślę że te dwa „fankluby" łączy fakt, że technicznie nie łączy ich nic. Na uparteg można doszukiwać się zazębień, ale w poezji nie ma fantastyki, a w fantastyce poezji. Spytaj się dwudziestowiecznego poetę, co porabia, a powie ci, że *wypracowuje język do opisu czegośtam* (Miłosz). Zapytaj o to samo pisarza SF, odrzeknie *mam świetny pomysł na opowiadanie, otóż cośtam* (Zajdel). Obydwaj całkiem inaczej męczą się z zadanym materiałem. Poeta zaciśnie zęby i zacznie szlifować słowo po słowie, aż stworzy *U wrót doliny (*Herbert). W tym samym temacie fantasta nazmyśla ile może, żeby zadziwić jak najmocniej. Otrzymamy *Kocią obecność* (Huberath).

PROWOKACJE KONTROLOWANE

Wojciech Szyda

AFORYSTĄ BYĆ...

Niniejszy felieton muszę zacząć od przeprosin, miał on być bowiem poświęcony tematyce damsko-męskiej, z silnym zabarwieniem antyfeministycznym. W taki oto (prowokacyjny!) sposób zamierzałem się wpisać w profil tematyczny trzeciego numeru „IP". Niestety, pewne wydarzenia, które zaszły niedawno w mym życiu, sprawiły, iż napisany w połowie tekst pt. „Spiskowa teoria kobiet" powędrował do szuflady. Używając grypsery prawniczej - zastosowałem klauzulę *rebus sic stantibus*, tj. odstąpiłem od pierwotnego tematu, ponieważ zaszła nadzwyczajna zmiana okoliczności (w mym życiu prywatnym), co pewnie źle świadczy o mnie jako o niewzruszonym, ironizującym prowokatorze, którego mam odgrywać na tych łamach. Musiałem przeto obrać temat zastępczy - aforystykę stosowaną. Proszę mi wierzyć - inaczej nie mogłem. Po prostu nie wypada mi najeżdżać na „drugą płeć", kiedy sam mam co nieco na sumieniu i kiedy „druga płeć" okazuje się być w wielu sprawach „pierwsza". Dlatego nie będzie o kobietach, tylko o aforyzmach. Pewną kompensatą niech staną się moje *bon-moty* tyczące spraw damsko-męskich. W ten sposób przynajmniej w ułamku powetujemy sobie zarzucenie poprzedniego tematu. Tyle tytułem wstępu.

Aforyzmy, jak wiadomo, od dawien dawna stanowią najbardziej efektowny (czasem efekciarski) sposób wyrażania tzw. prawd o życiu - poprzez swą lapidarność, syntetyczność, trafność, błyskotli-

wość, itp. Słynni aforyści (np. Chamfort, Chateaubriand, Wilde) żyją w naszej pamięci nie jako pisarze (czy memuaryści), ale przede wszystkim jako producenci błyskotliwych sentencji. Często są to „złote myśli" wyrwane z kontekstu - zaczynają żyć własnym życiem, jako autonomiczne *bon-moty*, a ich tło interpretacyjne zupełnie traci na znaczeniu. Czasami są wymyślane jako „gotowe" aforyzmy albo z premedytacją wszczepiane w tkankę tekstu. Przykład z naszego podwórka: Jacek Inglot przyznał kiedyś publicznie, że do „Inquisitora" i „Quietusa" włożył z premedytacją kilkadziesiąt (sic!) sentencji własnego autorstwa, po czym zaofiarował się postawić piwo komuś, kto by je znalazł. Tak więc z rodowodem aforyzmów bywa różnie. Natomiast jest faktem niezbitym, że wielu ludzi (przynajmniej „ciut" refleksyjnie do życia nastwionych) zapisuje sobie różne „złote myśli" w specjalnych kajecikach. Celują w tym zwłaszcza kobiety, co skłania mnie ku tezie, iż fachowy podryw winien polegać na umiejętnym posługiwaniu się miłosno-erotyczną aforystyką. Jak wiadomo kobiety są bardzo wrażliwe na słowa (zwłaszcza zaś na słowa mówione), a ponieważ myślą tylko o jednym (faceci myślą jeszcze o piwie) - wirtuozeria bon-motowa ożeniona z treścią romantyczną daje mieszankę piorunującą - skuteczną jak lubczyk i prostą jak tabliczka mnożenia. Ale miało nie być o kobietach...

Przechodzę do meritum, czyli do zaprezentowanie skromnej części własnego dorobku aforystycznego.

Zacznijmy od aforyzmów ogólnych, tyczących życia jako takiego. Swojego czasu napisałem: **Chętnie metaforyzujemy życie przyrównując je do teatru, snu lub labiryntu. Ale czy można metaforyzować inne rzeczy przyrównując je do życia? Może to właśnie teatr, sen i labirynt są odzwierciedleniem życia, które jest czymś wielokrotnie bardziej od nich złożonym, a nie na odwrót?** Na czym więc sens życia miałby polegać? Pytanie jest trudne o tyle, że - podobnie jak Heraklit z Efezu - uważam, że rzeczywistość lubi się maskować. Dlatego spłodziłem *bon-mot*: **Reguły rządzące światem są niewidoczne jak algorytm w programie komputerowym**. Jak wiadomo życie każdego człowieka dzieli się na kilka etapów - najważniejsze to dzieciństwo i dorosłość. Dorosłość jest o tyle wredna, że poznajemy wówczas brudne prawa rządzące światem, zupełnie niekompatybilne z prawami rządzącymi światem bajek. Magia pryska jak mydlana bańka... Napisałem: **Dzieciństwo to świat „Małego Księcia", dorosłość to świat „Księcia" Machiavellego**.

Wkraczając w dorosłość człowiek zaczyna się zastanawiać nad naturą ludzką. Czy jesteśmy zwierzętami, które jedzą, śpią, kopulują, walczą i zabijają jak reszta przyrody, czy może jednak dziećmi Boga? Jestem umiarkowanym optymistą: **Człowieczeństwo to proza ożeniona z poezją, zwierzęcość to tylko proza**. Jestem też umiarkowanym pesymistą: **Człowieczeństwo tym się różni od zwierzęcości, czym lekka atletyka różni się od sportu, matematyka od reszty nauk, a lew od pozostałych zwierząt.**

Ponoć całe nasze życie kręci się wokół miłości i śmierci: Eros i Tanatos, epitalamium i epitafium, marsz weselny i marsz pogrzebowy - wiadomo... Człowiek jest jednak zwierzęciem społecznym, więc owe dwa bieguny nie występują w formie czystej, jeno w uspołecznionej. **Zinstytucjonalizowaniem miłości i czułości jest małżeństwo, zinstytucjonalizowaniem**

śmierci i nienawiści jest wojna. Napisałem „zwierzęciem społecznym" - ale są tacy, co twierdzą, iż od reszty darwinowskiego łańcucha odróżnia nas umiejętność opowiadania kawałów. Teza dyskusyjna, niemniej: **Humor erotyczny i czarny humor są emanacją dwóch odwiecznych obsesji człowieka: miłości i śmierci, emanacją ubraną w szaty przystępności i trywializowania, co jest swoistym przełamywaniem lęku**.

Skoro weszliśmy już na obszar „miłości" (biorę w cudzysłów, bo nie lubię nadużywać słowa), muszę przytoczyć kilka obiecanych aforyzmów damsko-męskich (o leciutkim zabarwieniu antydamskim). Na przykład: **Kobiety mają tylko marzenia. Mężczyźni mają także ideały**. Albo: **Większości kobiet imponują prostytutki, tak jak większości mężczyzn imponują przestępcy. Estrogen i testosteron nadmiernie wydzielane czynią z kobiecości i męskości ich karykaturalne wynaturzenie** (tu akurat obie płcie dostają po równo). **Okazja czyni z człowieka złodzieja, z mężczyzny zbrodniarza, a z kobiety dziwkę** (idem). Ostatni „greps" jest już jawnie antyfeministyczny, wynotowuję go zupełnie wyjątkowo: **Co jest szczytem bezinteresownoiści? Szczytem bezinteresowności jest kobieta walcząca o przestrzeganie praw człowieka**.

A teraz coś z zupełnie innej beczki. Jako szczery wyznawca Machiavellego, który był jednym z najlepszych przyrodników (etologów) w dziejach naszego gatunku, sformułowałem kilka zdań tyczących polityki. Na przykład: **W polityce i podświadomości nic nie dzieje się przypadkowo**. Albo: **Polityka jest szkołą hipokryzji jeszcze lepszą niż małżeństwo**. Mam na myśli oszukiwanie, które stanowi w polityce element konstytutywny do tego stopnia, iż zasadna wydaje się uwaga: **Można oszukiwać nie tracąc honoru, pod warunkiem, że przeciwnik również może oszukiwać i zdaje sobie sprawę, że sam może zostać oszukany**. Niemniej oszukiwać trzeba umieć (ja na przykład jestem w tym kiepski), gdyż:

Udane oszutwo to dobrze udane oszustwo.

Zostawmy jednak politykę i przejdźmy do religii (co nieodmiennie łączy się z kwestią ateizmu). Swojego czasu było mi bardzo żal ateistów. Sformułowałem wtedy tezę: **Ateista szuka prawdy w nauce, tak jak kaleka szuka zdrowia w protezie**. Niestety, w chwilach zwątpienia myślę sobie, że tak samo można powiedzieć o wierzącym... Wówczas pojawia się egzystencjalizm, czyli „filozofia pustki". Wiara, ateizm, ideały - wszystko to są jedynie tematy zastępcze, będące przejawem tzw. ucieczki w złą wiarę. W chwilach zdołowania jestem wyznawcą poglądu: **Życie jest kłamstwem, prawda zabija**. Popadam wtedy w melancholijny estetyzm, ten sam, o którym Nietzsche powiedział: „Sztuka istnieje po to, żeby prawda nas nie zabiła". A później, kiedy humor mi się poprawia, dochodzę do wniosku, że wszystko jest cholernie względne, gdyż tak naprawdę to: **Samopoczucie określa świadomość.**

Cóż, pora kończyć. Aby jednak nie sumować wywodu akcentem pesymistycznym, zaserwuję jeszcze kilka aforyzmów zabawnych (tzn. roi mi się, że są one za-

bawne). Pierwszy będzie godził w feministki (a nie w kobiety, więc proszę mi go nie zaliczać na poczet mizoginizmu). **Zawsze istniały dwa rodzaje inteligencji: wrodzona i nabyta. Odkąd pojawiły się feministki mamy jeszcze inteligencję podpaskową**. Teraz będzie próbka typowego *black humour*: **Dla wielu ludzi życie jest ciężką chorobą. Na szczęście chorobą uleczalną**. Z tego wszystkiego wynika, że najlepiej jest zmienić swoje życie, do czego każdy człowiek ma święto prawo, tylko że nie zawsze mu się chce. Zazwyczaj przypomina to próbę pozbycia się bumerangu metodą wyrzucania go przez okno. Mnie owe nieudane próby kojarzą się - jakżeby inaczej - z piciem alkoholu. Dlatego kiedyś w przypływie natchnienia napisałem: **Zbyt wielu ludzi próbuje zmienić swoje życie metodą pijaka, który każe postanowienie o abstynencji świętuje w knajpie z kumplami**. Ponieważ nie mam żadnego konceptu jak zakończyć felieton, niech skończy się on tym właśnie *bon-motem.*

POD CZERWONĄ PLANETĄ POEZJA SOCREALISTYCZNA

Andrzej Mandalian

Towarzyszom z bezpieczeństwa

(...)
tyle nocy...
nie dospanych,
mętnych,
poplątanych,
od dymu ciasnych,
„wyprowadzić"
rzekł konwojentom
i zasnął

Śpij majorze
świt niedaleko,
widzisz:
księżyc zaciąga wartę;
szósty rok już nie śpi Bezpieka,
strzegąc ziemi
panom wydartej.

Brnęła noc
przez serce,
przez rżyska,
kolejami się snuła,
po torach
i przyszedł towarzysz Dzierżyński
do towarzysza majora.

Z krzesła zrywając się,
patrząc,
(przecież twarz tę od dziecka znałeś),
major stanął na baczność
i słów
nie potrafił znaleźć

Barki zdrętwiałe ból ciął,
tętno waliło w skroniach.

- Towarzyszu Dzierżyński,
pozwólcie.
Opowiem o nas.

Chyba chcecie wiedzieć,
jak dzisiaj,
jakie sprawy
i jakie troski?
Zwyciężyliśmy, towarzyszu,
nową
budujemy Polskę.

Jak napisać dobrą recenzję?

Technologia wytwarzania recenzji znana jest każdemu, kto ukończył szkołę średnią. Ściśle określonej techniki pisania recenzji dobrej prawdopodobnie nie ma. Moim zdaniem, decyduje o tym niekonwencjonalność myślenia, którą uważam za dar i której nikt nikogo nie nauczy. Nie jestem zwolennikiem szkółek pisarskich czy recenzenckich, ani też jakiegokolwiek poradnictwa w tym zakresie. Jeśli człek nie dochodzi do odpowiednich wniosków po przeczytaniu nieściśle określonej liczby książek - nikt tego za niego nie uczyni. Szkółki oraz poradnictwa w najmniejszym stopniu nie wpływają na zmiany populacji pisarzy lub krytyków. Jeśli już wpływają, to śmiem twierdzić, że niekorzystnie, albowiem osobnik biorący siebie za mistrza klonuje poprzez swych uczniów własne właściwości zabijając tym samym cudzą wrażliwość oraz zdolności.

Wracając do samej recenzji: niekonwencjonalność najłatwiej jest osiągnąć, wyceniając książki dalekie od obowiązujących jakościowych ortodoksji, czyli znakomite lub kompletnie beznadziejne. Gwałtowne bodźce natury estetycznej (niezależnie od ich emocjonalnego zabarwienia) świetnie wpływają na umysłową nadpobudliwość. Słabo natomiast wykonuje się recenzje książek przeciętnych, a jest to niestety w SF codzienność, co standardy wyznacza. I to właśnie nieszczęsne "-tory" muszą przedzierać się przez oceany pisarskiej bylejakości. W przeciwieństwie do panów Oramusa, Soboty czy Dukaja jesteśmy w NF ludźmi czarnej roboty, o czym z przykrością donosi -

Reanimator

Recenzje piszę dla duchowego i intelektualnego pożytku czytelnika i autora. Znęcanie się nad książkami (filmami) i ich twórcami, wykorzystywanie recenzji dla porachunków, uważam za tandeciarstwo. Piszę po to, żeby zrozumieć, zrelacjonować, wpisać w kontekst - dać odbiorcy radość poznania i przyjemność czytania. Przyszedłem do recenzenctwa z długoletniej szkoły felietonowej; specyficznej szkoły - lubię się podobać, uwodzić, ale puszczam się przede wszystkim na grepsy merytoryczne; na kojarzenia faktów, interpretacji, dzieł, osób, epok, fabuł... Nie na retoryczne, jałowe popisy.

Książki do recenzji czytam inaczej niż te przerabiane dla wiedzy bądź przyjemności. W tych drugich zaledwie od czasu do czasu podkreślę coś ołówkiem. Do recenzji natomiast zasiadam obłożony papierami, zatemperowanymi ołówkami, kolorowymi pisakami. Zdarza mi się zaginać strony recenzowanej książki, dla łatwiejszego znalezienia cytatu. Podczas lektury zapełniam notatkami trzy do dziesięciu kartek. Po lewej stronie kartki uwagi na temat przebiegu fabuły, wywodu; ot, swoisty timing utworu. Po prawej - nasuwające się podczas lektury skojarzenia, zgrabne zdania do recenzji, kolejne wersje jej tytułu , diagnozy, intelektualne odsyłacze ku różnym sprawom. Dopiero po takim przerobieniu książki zasiadam do pisania z wachlarzem notatek przed nosem. Kiedyś miałem lepsze oczy, wystarczyło podkreślić niektóre fragmenty notatek kolorowymi pisakami; teraz bardzo często przepisuję je jeszcze na maszynie, bezwiednie znajdując podczas tego procede-

ru dodatkowe błyskotki, myślątka, diagnozy, paradoksy. Podczas pisania recenzji korzystam przede wszystkim z tych przetworzonych notatek; bywa, że ani razu nie zajrzę już do omawianej pozycji.

Najważniejsze jest przy pisaniu pierwsze zdanie. Ono dyktuje rytm i ton całości. Mam zawsze parę wersji pierwszego zdania, podobnie jak tytułu. Podczas pisania mało w sumie myślę o czytelniku; staram się sprostać swoim wymogom jakości i przyzwoitości; próbuję osiągnąć efekt podobnie intensywnego oddziaływania jak ten którego sam doświadczam czytając najlepsze kawałki krytyczne Pauliny Keel (o kinie) czy Malcolma Cowleya (o literaturze). Recenzja jest w równej mierze wynikiem talentu, wiedzy, natchnienia, pracy wstępnej jak i... przypadku. Zawsze się zastanawiam, co by mi wyszło gdybym był w innym nastroju, pisał na innym noniku, na inną zadaną objętość, z innym widokiem za oknem. Parę razy z konieczności tego spróbowałem - w tym drugim tekście - replice zawsze było trochę więcej wiedzy, ciut więcej porządku. I chyba zawsze nieco mniej ognia.

Negocjator

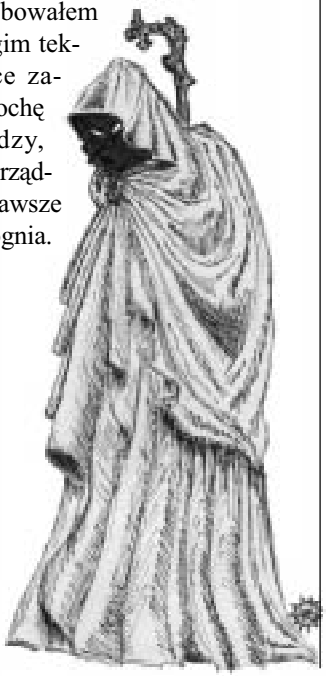

POETICON

Anna Basara

Ksantypa

Dokąd to, Ksantypo, tak idziesz zmęczona
W zdeptanych sandałach, wytartym chitonie,
Liczne swe kłopoty niosąc na ramionach,
W fałdach ukrywając spracowane dłonie

W domu brak oliwy, jedzenia, pieniędzy,
Sokratesa takie nie obchodzą sprawy;
Sama musisz stawiać czoło gorzkiej nędzy
Pozyczać, zabiegać, łatać dach dziurawy

Z mężem filozofem masz życie niełatwe
On wciąż cnoty w prawdzie z współuczniami szuka
Ty masz inny problem - jak wykarmić dziatwę
To od ciebie ofiar wymaga nauka

Złośliwie wepchniętą na karty historii
Steraną Ksantypę okrzyczano jędzą:
Nie dla niej meandry zawiłych historii
Mistrzowi przeszkadza nad głową mu zrzędząc

Na nic twa ofiara i zapobiegliwość
Tak to pozostanie juz w ludzkiej pamięci
Sokrates - to mądrość, skromność i uczciwość
Ty swarliwy babsztyl, co go wiecznie dręczy

Sprawy osobiste a działo protonowe

Wywiad z JACKIEM DUKAJEM

Dlaczego Jacek Dukaj jest taką tajemniczą postacią? Skąd bierze się niechęć do konwentów, czy do niedawna wywiadów i dłuższych wypowiedzi w mediach?

Na konwenty nie jeżdżę głównie z tzw. przyczyn obiektywnych (tzn. często po prostu nie mogę), ale przyznaję, że też nie ciągnie mnie tam zbytnio. Nie lubię mówić o pisaniu, ani prezentować się jako pisarz; jeśli posiadam w ogóle jakiś talent, z pewnością nie jest to talent medialny.

Nawiazując do terminu „ukutego" przez Macieja Parowskiego, czy czuje się Pan częścią tzw. Piątej Generacji? Czy uważa Pan, że to tylko zbieżność w czasie, czy też istnieją wg Pana jakieś elementy łączące twórczość Pańską z twórczością chociażby Soboty czy Żerdzińskiego?

W kwestii generacji przyznaję Parowskiemu rację o tyle, iż faktycznie istnieje różnica w pewnych doświadczeniach historycznych - społecznych, kulturowych, w punktach zmiany mentalności społecznej - które dane było przeżyć osobom urodzonym wystarczająco wcześnie; tak więc co innego konstytuuje świadomości 30-latka. Czy są to rzeczy na tyle silnie odbijające się w ich twórczości, by mówić o Generacjach? Nie wiem. Obecnie różnorodność wydaje mi się na to zbyt wielka. A żaden schemat nie jest adekwatny na wszystkich poziomach, choć do niektórych opisów bywa użyteczny.

Znów powołam się na Parowskiego. Według niego w pisarstwie Dukaja najsilniej zaznacza się obraz świata jako nieustannej walki Dobra ze Złem. A jak widzi to sam autor?

Z pewnością nie piszę z intencją odmalowania takiego obrazu.

Bóg jest tematem wielu Pana opowiadań. „Złota Galera" była ostrym atakiem antyklerykalnym. Podobne założenia miała antologia „Czarna Msza". Z kolei w „Ziemi Chrystusa" widać doprowadzoną do skrajności miłość chrześcijańską i bezsilność wobec niej (ale bez specjalnej wrogości) ludzi „z zewnątrz". Jak skomentuje Pan tę ewolucję?

Bo ja wiem, czy to ewolucja... Najpierw zawsze jest pomysł i jeśli miałbym teraz jakiś rewelacyjny pomysł na tekst, który mógłby zostać odczytany jako antyklerykalny, z pewnością bym go wykorzystał. Oczywiście można zadać pytanie: dlaczego mi dziś takie pomysły nie przychodzą, a na „Galerę" wtedy przyszedł? Mogę się tylko domyślać. Młodość zawsze ekstremalizuje.

Wedlug Jacka Inglota, jest Pan pisarzem, piszącym „książki o książkach". Na ile pisarstwo musi być odbiciem przeżyć i doświadczeń osobistych, a na ile można opierać się na innych źródłach?

Tu w ogóle nie ma kwestii wyboru źródła. Skąd przychodzą pomysły, to nie zależy od autora. Zresztą pomysły do hard SF w większości muszą pochodzić z książek - konia z rzędem temu, kto mi dowiedzie, że wysnuł ideę ansibla czy działa protonowego na podstawie swych doświadczeń osobistych. Istnieje natomiast kwestia wiarygodności psychologicznej postaci, ich zachowań, emocji - i tu nie można popełnić większego błędu, jak sądzić podług lektur. W rzeczy samej rozpoznaję coś takiego ze zgrozą w co raz większej ilości utworów: potworną wtórność, operowanie już wykorzystanymi

modułami słownymi, sytuacyjnymi, uczuciowymi. Robię wszystko, by nie można było rzec o moich postaciach, że są „papierowe". Czy to miał na myśli Inglot? Sądzę, że chodziło mu raczej o gęsty „trop literacki", jaki pozostawiam za sobą, te wszystkie świadome odwołania, dygresje, małe zabawy stylem. Czy to źle? Bawi mnie to. Zresztą odpowiedzieć mogę krótko: gdyby pisarstwo istotnie miało być prostym odbiciem przeżyć autora, jedyną dobrą literaturę stanowiłyby autobiografie - od tego jest pisarz, żeby uczynić wiarygodnym to, czego nie przeżył, nie mógł przeżyć i nikt nigdy nie przeżyje.

Jak zareagował Pan na częste porównania „IACTE" i „Serca Mroku" z twórczością Stanisława Lema?

O porównaniach „IACTE" nic nie wiem; porównań „Serca..." się spodziewałem. Cóż mogę powiedzieć? Piszę to, co sam chciałbym przeczytać - a Lema bardzo lubię.

„Serce Mroku". Skąd pomysł by sięgnąć do opowiadania Conrada, wydawałoby się wyeksploatowanego już nie tylko przez samego autora, ale i przez F.F. Coppolę?

To nie było tak. Pomysł z odwołaniem się do „Jądra ciemności" był na końcu, gdy miałem już wszystkie inne elementy - planetę, hitlerowców w kosmosie, gatunek „złodziei formy" - i szukałem czegoś, co nadałoby temu oryginalną formę, ten dodatkowy poziom. Skojarzenie z Conradem bardzo mi się spodobało, jakoś nikt dotychczas czegoś takiego nie zrobił, nie mogłem się oprzeć.

Opowiadanie „Ponieważ kot" przyjęte zostało jako wynik studiów filozoficznych. Czy to jakiś świadomy zwrot w twórczości i należy oczekiwać kontynuacji „takiego" Dukaja?

E, nie sądzę... Tak się akurat złożyło, iż Kowal gromadził wówczas teksty do antologii o kotach, a że ja i tak musiałem cały dzień siedzieć przy komputerze, drukując na mojej dychawicznej drukarce „Wyżryna", pogrzebałem w zgromadzonych konspektach, znalazłem jeden, do którego dałoby się podpiąć kota, i sprokurowałem taki miniwykład. Nie przywiązywałbym do tego wielkiej wagi. Zresztą nie trzeba studiów filozoficznych, żeby zadawać podstawowe epistemologiczne pytania.

Wedlug artykułu na Pana temat w „Machinie" najlepszym Pańskim tekstem jest „Szkoła". Tymczasem czytelnicy raczej wskazują na „Złotą Galerę" lub „Xavrasa Wyżryna". A z czego Pan jest najbardziej dumny?

Pojęcia nie mam, co napisali w „Machinie", słyszałem tylko o tym artykule. Z czego jestem najbardziej dumny? Prawdę mówiąc od ich powstania minęło już tyle czasu, że widzę w tych tekstach jedynie wady i prawie się ich wstydzę. Dumny to ja jestem zawsze z tego, co akurat skończyłem pisać, i to nie dłużej, niż przez jakieś dwa miesiące; potem widzę już tylko banalizmy, nieskładności językowe, luki etc.

Czy surowość Dukaja-krytyka bierze sie z ogromnych wymagań wobec własnej twórczości Dukaja-pisarza? Sedeńko wspominał kiedyś o powieściach pisanych do szuflady, liczących parę tysięcy stron...

A owszem. To, co wychodzi drukiem, to zawsze jest tylko ułamek tego, co piszę. W ogóle im starszy jestem, im więcej przeczytałem, tym trudniej zdecydować mi się na ostateczne zakończenie i „wypuszczenie" jakiegokolwiek tekstu, bo widzę, jak w rzeczy samej jest on marny, płytki, nieznaczący. Boję się, że czułość mojego smaku, ostrość spojrzenia krytycznego

rosnąć będą szybciej niż moje umiejętności, i w końcu nie pozostanie mi nic innego, jak pisać już tylko do szuflady.

Jaki jest Pana stosunek do modnego ostatnio określenia „getto" w stosunku do fantastyki w Polsce?

Ono nie jest „ostatnio modne". Funkcjonuje od niepamiętnych czasów, i to nie tylko w Polsce. Co jakiś czas podnoszą się fale większego buntu przeciwko takiej klasyfikacji, teraz chyba mamy taki okres. Jest nadzieja, bo w szeregach Krytyków postępuje wymiana pokoleniowa i tzw. „środowisko literackie" staje się bardziej przenikalne.

Co uważa Pan za najważniejsze pozytywne i negatywne zjawisko w polskiej fantastyce lat dziewięćdziesiątych?

Pozytywne - wolny rynek książki. Negatywne - dalsze odejście od hard SF.

Przyszłość fantastyki w Polsce albo jak formułował to temat głównego panelu poznańskiego „Dnia z Fantastyką „Czy warto jeszcze pisać i czytać fantastykę?"

Błąd w pytaniu. Nie ma żadnego „warto". Fantastyka nie jest instrumentem służącym do osiągnięcia czegoś, który mógłby zostać zastąpiony przez jakiś inny - lepszy - instrument. To rodzaj skazy umysłowej. Wyobrażam sobie, że gdyby karano za czytanie, miłośnicy fantastyki byliby ostatnimi, którzy by się poddali. Jaka będzie polska fantastyka w XXI wieku? Pojęcia nie mam. Ja nie wiem nawet, co sam będę wówczas pisał. Ale czytać będę na pewno. I nie sądzę również, by inni przestali nagle czytać.

rozmawiał ***Marcin Bronhard***

POETICON

Jakub Chabin

ABY ŻYĆ

Widzę jak zbliża się
Stoję w cieniu
Zagryzam nerwowo wargi
Taki tik z dzieciństwa

Moja dłoń wygięta w lufę pistoletu
Ona jest moja, zabiję ją
Nie może odejść, zabiję ją
Muszę ją zabić
Muszę zabić
Muszę coś w sobie zabić
Aby żyć ...

Czy na pewno ?

Anna Basara

Małżeństwo

Włożyliśmy obrączki,
potem zajrzeliśmy do gramatyki życia
przekreślając na zawsze liczbę pojedynczą,
wyrzucając ją z myśli, mowy i uczynków;
nie spuszczaliśmy z łańsucha psa Egoisty,
nie przygarnialiśmy rudej kotki Niecnotki,
nie zapominaliśmy o oliwie do lampy,
aby nie dać się nigdy zaskoczyć ciemnościom
przechodząc jezdnię trzymaliśmy się za ręce
nie lekceważąc dziesięciu znaków drogowych,
zawsze żyliśmy oszczędnie i skromnie,
lecz nigdy nie brakło chleba i pocałunków.
Tak udało nam się przebyć ładny szmat drogi,
trochę boso, piechotą, a trochę na wozie,
czasem grzęznąc w koleinach lub błądząc we mgle;
wcale nie było łatwo, ale nigdy nudno.
Mamy nadzieję, że wspierając się wzajemnie
dotrzemy do celu - Kajus et Kaja

METAFIZICON

Tomasz R. Barczyk

Magia chińskich mistrzów

„Tao, które można wyrazić słowami,
nie jest prawdziwym tao.
Nazwa, którą można nazwać, nie jest prawdziwą nazwą."

Na tym stwierdzeniu, zapisanym ok. 2500 lat temu przez Lao-Tsego, powinienem właściwie zakończyć ten artykuł, ale obawiam się, że wielu czytelników mogłoby to odebrać jako powierzchowne potraktowanie tematu i dlatego postaram się przybliżyć nieco ten system filozoficzny.

Taoizm, bo o nim mowa, to jedna z najbogatszych i na pewno najstarsza istniejąca tradycja filozoficzna świata. Ok. V w. p.n.e. Lao-Tse, bibliotekarz cesarskiego archiwum i uznany patron taoizmu, napisał swą słynną książeczkę „Tao Te Ching" („Księga Drogi i jej mocy"), w której zawarł wiele myśli, wskazówek i rad uznawanych za esencję taoizmu. Jednak Lao-Tse nie opracował tych zasad. On twierdził jedynie, że opisał dawny styl życia, jaki obowiązywał w Chinach dwa i pół tysiąca lat wcześniej, za panowania Huang Ti, ojca państwa chińskiego.

„No dobrze", można powiedzieć, „ale czym jest to Tao?" Lao-Tse pisze:

„istnieje coś, z czego powstał chaos,
co powstało wcześniej niż niebo i ziemia,
coś samotnie ciche, nieskończenie dalekie,
w sobie skupione, niezmienne,
krążące, nie wyczerpujące się nigdy,
można by je nazwać pramatką wszechświata,
nie znam jego imienia,
nazywam je Tao"

Tao jest porządkiem wszechświata, jest pierwotną siłą, która nadaje kształt wszystkim zjawiskom. Przenika wszystko i dzięki niemu rzeczy mogą istnieć. W jęz.chiń. Tao znaczy tyle co Droga, Sposób i jest nim ten stan pierwotnej niewinności, który pozwala człowiekowi iść przez życie poddając się jego biegowi. Człowiek, który zna Tao, zdaje sobie sprawę, że jest jedynie maleńką cząstką wielkiego porządku rzeczy i szuka sposobu harmonijnego współżycia z potężnymi siłami natury. Wie, że nie jest w stanie nad nimi zapanować i dlatego stara się jedynie znaleźć swoje miejsce w otaczającym go wszechświecie.

Z Tao powstały Yin i Yang, dwie wzajemnie zależne siły, które bezustannie na siebie oddziałują. Są przeciwstawne, ale każda z nich zawiera w sobie ziarno siły przeciwnej. To właśnie obrazuje słynne koło yin-yang, na którym siły są oddzielone od siebie linią w kształcie litery S. Sugeruje ona, że granice między tymi siłami nie są ostatecznie ustalone i cały czas trwa proces zamiany jednej z nich w drugą.

Yin i Yang określają i dopełniają się wzajemnie i nie mogłaby istnieć tylko jedna z nich. W „Tao Te Ching" czytamy:

„Wszyscy wiedzą, że piękno jest piękne,
dlatego istnieje też brzydota;
wszyscy wiedzą, że dobro jest dobre,
dlatego istnieje też zło;
bowiem:
pełnia i pustka rodzą jedna drugą,
lekkość i ciężar realizują się wzajemnie,
długość i krótkość warunkują się wzajemnie,
wysokość i niskość pokonują się wzajemnie,
dźwięk i ton zestrajają się,
przedtem i potem następują po sobie"

Pierwotne znaczenie chińskiego ideogramu Yin to „cieniste zbocze góry". Kojarzy się z ciemnością, uległością, pasywnością i miękkością, a głównymi symbolami są kobieta i woda. Yang oznacza „Słoneczne zbocze góry" i kojarzy się ze światłem, aktywnością, oporem i twardością. Jego głównymi symbolami, jak można się domyślić, jest mężczyzna i ogień. Yin jest silniejsze i bogatsze od Yang, za to Yang bardziej rzuca się w oczy i jest aktywniejsze. Taoiści uznają wyższość Yin nad Yang i dlatego polecają w działaniu drogę wody - kobiety:

„nic na świecie nie jest miększe i słabsze od wody,
a jednak nie istnieje nic takiego, co jak woda
pokonywałoby skostniałe i twarde,
płynie nieodmiennie, zgodnie ze swoją naturą;

że słabe mocne pokona,
a skostniałe ulegnie gibkiemu,
któż nie wiedziałby o tym?"

Niestety większość mężczyzn nie wie o tym. Bardzo często głowy państw, prezydenci, królowie nie zdają sobie sprawy, że realizują politykę podpowiedzianą im w okowach sypialni. Mężczyzna potrzebuje sławy i splendoru, ale to kobieta faktycznie dzierży władzę i podejmuje decyzje. Kobieta nigdy się nie narzuca i poddaje się woli swego męża, ale zawsze rzeczy dzieją się tak, jak ona tego chce. Będąc bierną - zwycięża i to zwycięża w taki sposób, że mężczyzna nawet tego nie zauważa:

„żeńskość swoim spokojem wiecznie zwycięża męskość;
przez spokój zostaje ona poskromiona"

Drogę wody proponują również chińscy mistrzowie sztuk walki, którzy wyjaśniają wyższość klasycznych chińskich form walki w stylu „miękkim", takich jak Tai Chi Chuan, nad formami w stylu „twardym", takimi jak koreańskie Taekwondo czy japońskie Karate. Ideą miękkich stylów walki jest działanie z zasadami yin-yang. Oznacza to, że gdy np. ktoś mnie pcha, to ja nie odpowiadam mu tym samym, bo wtedy wygra silniejszy. Zgodnie z zasadami yin-yang powinienem odsunąć się i skierować siłę przeciwnika w dogodne, wybrane przeze mnie miejsce. Za takim działaniem przemawia praktyka, która sytuuje Tai Chi Chuan w kręgu najbardziej skutecznych sztuk walki.

„delikatne i słabe jest ciało człowieka w chwili narodzin,
lecz drętwe i twarde staje się po śmierci;
delikatne i giętkie są zwierzęta i rośliny dopiero co zrodzone,
lecz sztywne i suche się stają, kiedy są martwe;
tedy drętwota i twardość są towarzyszami śmierci,
zaś delikatność i gibkość towarzyszami życia;
przeto nie zwycięży sztywna i mocna broń,
sztywne i mocne drzewo zetnie siekiera,
tak też utonie w przepaściach silne i wielkie,
podczas gdy delikatne i wątłe osiągnie szczyty"

Filozofie Zachodu widzą dwa aspekty człowieka: fizyczny i psychiczny i oddzielają w bardzo jednoznaczny sposób ciało od umysłu. Taoiści rozróżniają trzy podstawowe poziomy istnienia człowieka. Oprócz poziomu fizycznego i umysłowego jest jeszcze poziom energetyczny, który stanowi swego rodzaju łącznik między ciałem a umysłem. Wszystkie poziomy są ze sobą powiązane i zmiana jednego powoduje zmiany w pozostałych.

Owa tajemnicza energia - chee - to wg taoistów fundamentalna moc życia, która ożywia wszystkie formy życia we wszech-

świecie. Podobnie jak Tao, chee jest niewidzialne, nieme, i bezkształtne - lecz przenika wszystko. Za pomocą umysłu - ducha taoiści mogą prowadzić energię w swym ciele przez specjalne kanały zwane meridianami i w ten sposób wpływać na ruch esencji - krwi i hormonów. Chińska medycyna zakłada, że wszystkie choroby spowodowane są nieprawidłowym krążeniem chee po organizmie, a popularne i skuteczne metody leczenia to akupunktura i akupresura. Terapie te polegają na nakłuwaniu i uciskaniu odpowiednich części ciała, aby udrożnić meridiany i umożliwić przepływ chee, oraz aby skierować chee w odpowiednie - chore miejsce organizmu. Można się spierać, czy chee naprawdę istnieje - nie ma fizycznych dowodów jej obecności, ale wszystkie dowody nie wprost dają do myślenia i każą się zastanowić nad racjami taoistów.

Adepci Tao nie sprzeciwiają się naturalnemu biegowi wydarzeń, lecz akceptują go: nawet śmierć nie jest dla nich absolutnym końcem, ale przejściem z jednego obszaru istnienia w inny. Uczeń Lao-Tse, Czuang- Tse powiedział kiedyś:

„Skąd mogę mieć pewność, że upierając się przy tym życiu, nie upieram się przy zwykłym śnie, opóźniając moment znalezienia się w prawdziwym świecie?”.

To właśnie urzekło mnie w Drodze. Przyjmowanie rzeczy i wydarzeń takimi, jakie są. Pogodzenie się z rzeczywistością i osiągnięcie harmonii wewnętrznej - stanu umysłu, w którym patrząc z lekkiego dystansu na świat żyje się życiem prostym i spokojnym. To bardzo cenny stan ducha i trudny do osiągnięcia, jednak warto jest się starać. Mędrcy mówią, że droga jest równie ważna jak cel i dlatego zachęcam wszystkich do wstąpienia na Drogę i odkrywania jej bogactw i korzyści z niej płynących.

„osiągnij szczyt nieskończonej pustki,
zachowaj pełnię spokoju,
a wszystkie rzeczy zaczną dojrzewać,
wtedy zdołasz ujrzeć ich powrót do niebytu;” ·

· cytaty z „Tao Te Ching” na podstawie tłumaczenia Bernarda Antochewicza

ROZMYŚLANIA NAD TLENEM CZ. II

(z Markiem Oramusem rozmawia Paweł Ostrowski)

Dla mnie sygnał, że coś się dzieje, miał miejsce gdy przygotowywałem listę bestsellerów dla listopadowej „Fantastyki". Dzwonię jak co miesiąc do księgarni „U Izy", do tej słynnej księgarni, gdzie były wszystkie pozycje, nawet te starsze. Pracowali tam ludzie, którzy się znają na fantastyce, ale już mi nie podyktują żadnej listy, bo księgarnia właśnie jest zamykana. Wszyscy narzekali, ale jednak wydawcy wypuszczali książki, hurtownie je kupowały, księgarnie je sprzedawały, mówiąc wprawdzie, że chudo. Teraz mamy pierwszy sygnał, że coś zostało zamknięte, czyli narzekania już się skończyły i przeszli od słów do czynów. Zamykanie zawsze jest niebezpieczne, nawet zamykanie księgarni.

A propos zamykania: czy za komuny nie miałeś problemów z cenzurą?

Dlaczego miałem nie mieć?

O latach 80. słyszałem takie opinie, że władze specjalnie się nie wtrącały z tego powodu, że nie traktowały literatury fantastycznonaukowej poważnie.

Miałem mniejsze problemy z cenzurą jeżeli chodzi o literaturę, choć na przykład z „Arsenału" cięli bardzo żwawo. Jakiekolwiek skojarzenia na temat imperium, które wisi nad małym, dobrze rokującym krajem i przeszkadza mu się rozwijać nie mogły się pojawić, nawet jeżeli się to tylko śniło jakiemuś obywatelowi poodróżującemu w kosmosie. Natomiast byłem wtedy także dziennikarzem i miałem wrażenie, że trzeba pisać prawdę i to, co się myśli. Czasem zdejmowali mi całe artykuły. Jak byłem w twoim wieku, napisałem artykuł do słynnego „Politechnika" pod tytułem „Pozoracja spontaniczności", gdzie dowodziłem szkodliwości czynów społecznych. Pech chciał, że redakcja zamieściła ten tekst w numerze z 16 maja chyba 1973 roku, a na ten dzień przypadł ogólnopolski dzień czynu partyjnego. Zdjęli więc w całości; do dziś mam te szczotki oraz numer, który się ukazał z opóźnieniem. Zostałem wezwany do Warszawy, gdzie cenzor miał mnie egzaminować z poglądów antypaństwowych. Cenzor się jednak nie stawił, ja zaś poznałem redakcję „Politechnika": Parowskiego, Hołyńskiego... Zobaczyłem, że są to ludzie myślący podobnie jak ja. Gdy po studiach wylądowałem w Warszawie, trafiłem do tej redakcji jakby naturalnym biegiem rzeczy, pisałem swoje felietony, z których wiele zostało zdjętych; tak, że jako jeden z niewielu dziennikarzy jestem cytowany z imienia i nazwiska w słynnej „Czarnej księdze", którą udało się wywieźć do Szwecji w połowie lat 70-tych. Dopiero wtedy, gdy się to na Zachodzie opublikowało, cenzura trochę jakby zelżała i stała się jakby bardziej rozumna. Wcześniej nie było racjonalnego motywu w ich działaniu, nie można było uchwycić toku ich myślenia. To przebiegało tak, jakbyś węża postrzelił i on by się miotał w różnych kierunkach.

Nie dało się więc pisać „ pod" cenzurę?

Pisać to się dało, bo wystarczyło gloryfikować Związek Sowiecki i kierowniczą siłę. Chyba, że przesadziłeś - wtedy oni traktowali to jako wypowiedź ironiczną i zdejmowali na wszelki wypadek. Nie moż-

na było kierowniczej siły ośmieszać. Tak, że kłopoty z cenzurą były, ale coś się dało napisać, w formie zawoalowanej, jak to Zajdel robił, albo w formie traktatu, jakim są „Dialogi" Lema. Cenzura zmuszała twórców do kombinowania, jak tu ją obejść; paradoksalnie wychodziły z tego rzeczy mądrzejsze niż dzisiaj, gdy nikogo nie trzeba przechytrzać. Nawet czytelnika.

Czyżby dziś mniej trzeba było myśleć przy pisaniu?

Przy pisaniu to się już w ogóle nie myśli, moim zdaniem. Cały proces myślenia powinien się odbywać wcześniej. Jak ktoś myśli podczas pisania, to znaczy, że jest jeszcze niegotowy. Przynajmniej tak jest w moim wypadku. Widzę, że trzeba wtedy zrobić przerwę. Pisać powinno się rzeczy przemyślane i to już wtedy idzie gładko.

Czy zawsze tak ci się udawało?Czy na przykład miałeś w głowie cały „Dzień drogi do Meorii", a potem to już hop! i wyskoczył na papier?

No tak, próbujesz mnie tu ośmieszyć i oczywiście udało ci się. Mam taki kalendarz na biurku i leci w nim tak: 7:05 - 7:18: myślenie o Meorii, 7:18 - 8:12: mycie i śniadanie, 8:12 - 8:20: myślenie, nie wiem, o dupie Maryni... To oczywiście tak nie jest; po prostu myślisz idąc do sklepu, jadąc tramwajem, leżąc na łóżku i wpatrując się w sufit. Potem trzeba wziąć kartkę i zanotować te myśli, jeśli były one wartościowe. Gdy się takich kartek nazbiera cała teczka, można już siadać do pisania.

Lem pisał tak: przyjeżdżał do Zakopanego na miesiąc i kończył w przeciągu tego czasu całą powieść, co się wydaje niewyobrażalne, kiedy się siada do jej lektury. Lem miał dużą łatwość pisania i ma ją nadal. Ja takiej łatwości pisania nie mam, chociaż kiedyś miałem większą niż dziś. Uważam nawet, że ta cecha jest raczej wrogiem niż sojusznikiem pisarza, i tę nadmierną łatwość pisania trzeba utracić, żeby teksty były lepsze.

Interesuje mnie to, czy siadając do maszyny masz już całą książkę przemyślaną od początku do zakończenia, czy sam nie wiesz, dokąd cię ona zaprowadzi?

Są dwie metody pisania powieści: albo masz wszystko dokładnie zaplanowane i piszesz według planu precyzyjnego - i ja w takie książki nie wierzę - albo jedziesz w tą stronę, w którą cię pisany utwór niesie. Z tym, że to musi być kontrolowane. Ja na przykład robię tak: muszę wiedzieć, jak się to zacznie i jak się to skończy - muszę widzieć szkielet całości. Jak to wszystko już widzę u siebie w głowie, to zaczynam zbierać materiały. Na szkielecie musi wisieć jakieś mięso, prawda? Wiem, że będą mi potrzebne wiadomości np. z dziedziny medycyny. Staram się je zdobyć, czytając publikacje fachowe albo rozmawiając z kimś, kto się na tym zna. Natomiast jak się już trochę materiałów zbierze, to trzeba założyć teczkę. Kiedy ta teczka jest gruba, to trzeba to przejrzeć, posegregować, przeczytać i podjąć decyzję: albo jest już czas, albo jeszcze nie. I w momencie, jak już masz początek, koniec, szkielet i mięso, to zaczyna się układanie tego w rozdziały, żeby ten swój wywód przeprowadzić. w wielu miejscach nie wiadomo jeszcze, co będzie tym „ciałem" książki. Tak więc pisanie polega na tym, że istotnie, piszesz, ale się zatrzymałeś, bo jest problem, trzeba wpaść na rozwiązanie pewnej sytuacji. Pisanie artykułu, książki czy czegokolwiek powinno się zaczynać w momencie, jak już masz ja-

sną wizję tego, co chcesz napisać, jak się już dogadałeś z samym sobą. Potem jest to kwestia po prostu talentu i umiejętności.

Nad czym pracujesz teraz?

Robię opowiadanie, można to zobaczyć na stronie internetowej, ma się ono nazywać „Miaur". Miało wejść do antologii „Trzynaście kotów", ale szczęście, że się tam nie ukazało, bo zamieniło się w coś zupełnie innego. Będzie to rodzaj polemiki ze „Świętem śmiechu", o sprawach teologicznych - teologia Kosmosu. Nie chce mi się o tym gadać, bo lepiej będzie jak je skończę i wtedy sobie przeczytacie. Równolegle robię krótsze opowiadanie „Nocne wyścigi wgłąb Anny".

A co z przygotowywanym od jakiegoś czasu zbiorem „Rewolucja z dostawą na miejsce"?

Będzie; „Miaur" ma się ukazać właśnie w tym tomie. W tej chwili szukam wydawcy, bo mam wrażenie, że w SuperNOWEJ nie wiedzie mi się za dobrze. Kowalski nie jest ze mnie zadowolony, ja nie jestem zadowolony z Kowalskiego.

SuperNOWA wznowiła przecież twój „Dzień drogi do Meorii"?

Owszem. ale gdy zgłosiłem książkę pod tytułem „Jutro może być koniec świata", o tych różnych katastrofach które nam grożą, to się wypięli. Kupiłem sobie komputer właśnie po to, aby te książki pisać szybciej, zwłaszcza publicystyczne. Mam wrażenie, że mógłbym wydać cztery nowe książki w ciągu nadchodzących dwóch lat, ale na publicystykę nie ma chętnych wydawców, bo z góry się zakłada, że przyniesie to straty. Akurat książka o końcu świata pod koniec wieku nie musiałaby być deficytowa, jeżeli będzie się ją jakoś promować i sprzedawać, ale moje myślenie jest inne niż myślenie wydawców.

Czy myślałeś o tym, żeby powybierać swoje teksty krytycznoliterackie, choćby taki zbiór „Piątych piw"? A „Wyposażenie osobiste" - czy zdezaktualizowało się na tyle, że nie mogłoby zostać wznowione?

„Piąte piwo" będzie, być może pod tytułem „Rozmyślania nad tlenem", bo mi się bardzo podoba, natomiast jest kwestia, kto to wyda, kto to sprzeda i kto to kupi. W „Wyposażeniu osobistym" tak naprawdę zdezaktualizował się jeden tekst pod tytułem „Inwazja fantastyki", diagnozujący stan fantastyki wtedy, gdy wychodziło - w połowie lat 80. Natomiast cała reszta moim zdaniem trzyma się kupy, o tych dziełach dzisiaj powiedziałbym to samo; często mi się zdarza sięgać do „Wyposażenia osobistego", żeby się dowiedzieć co ja wtedy myślałem o tych książkach, bo niektóre z nich się ukazują po raz drugi - „Słoneczna loteria", "Cieplarnia" na przykład. Nie sądzę jednak, żeby się komuś chciało to wznawiać, skoro nawet wtedy wydawca twierdził, że to się ukaże w 20 tysiącach egzemplarzy, potem mówił o 10, stanęło w końcu na 5000 nakładu. To dzisiaj ile? Trzysta?

Jak oceniłbyś „Nową Fantastykę" z chwili obecnej, w porównaniu ze stanem pisma z połowy lay 80.?

„Fantastyka" zaczynała w warunkach ogromnego głodu na tą literaturę. Ukazywało się kilka, kilkanaście książek SF rocznie i można je było spokojnie przeczytać, przedyskutować, przeczytać jeszcze raz. Gdy „Fantastyka" startowała, cały ten rezerwuar najlepszej fantastyki był w Polsce nienaruszony.

Cokolwiek się stamtąd wyjęło, okazywało się grubą rybą. W tej chwili, po dziesięciu, piętnastu latach repertuar jest mocno przebrany i wyjedzony: nowe dobre rzeczy nie pojawiają się nagminnie. Stare utwory niekiedy się zdezaktualizowały, gdyż poziom techniki jest inny, poziom świadomości jest inny i w ogóle fantazjuje się w inny sposób, że tak powiem. W związku z tym pismo działa na uboższyym rynku - żeby coś wartościowego wybrać naprawdę trzeba się starać. Mam jednak wrażenie, że „NF" daje od czasu do czasu coś ciekawego do poczytania. Ja sam nie czytam wszystkiego, bo nie jestem w stanie; przepustowość gałek ocznych jest ograniczona, więc czasami nie wiem, co moje własne pismo drukuje.

Moje wrażenie jest takie, że od jakiegoś roku, dwóch „NF" nie wie , w którą stronę podąża; to się zaczęło mocno rozjeżdżać w różne strony, i literacko, i krytycznie... Teraz jest jeszcze ta wkładka cyberkulturowa. Są drukowane rzeczy od Sasa do Lasa, te Hyde Parki na przykład.

O to się musisz zapytać Maćka Parowskiego, ja się tutaj za niego nie zamierzam spowiadać. Nie wszystko, co Parowski puszcza mi się podoba, niektórych opowiadań bym nie wydrukował. „Marcepanowy tancerz" na przykład, „Połóg", o który była potem kłótnia - to są niedobre rzeczy po prostu, szkoda na nie miejsca w gazecie. Zawsze mówię, że drukowanie słabych rzeczy ma podwójnie negatywny efekt: ponieważ raz, że zamieszczając słabą rzecz masz minus, a dwa, że na miejsce słabego utworu nie dasz rzeczy bardzo dobrej, bo nie miejsce masz już zajęte przez słabiznę. Trzeba więc mocno uważać, co się drukuje, nie można się entuzjazmować byle czym. Maciek robi to nie od dziś, też ma swoje wyczucie i jakąś swoją politykę prowadzi, ale jak go dobiegają opinie, że coś kiepskiego puścił, to nie powinien się emocjonować ani lżyć ludzi od chamów na łamach „NF". Możemy za to gadać o rzeczach, które pode mnie podpadają, czyli o krytyce. Krytyka jaka jest, każdy widzi: taka, jaką napiszą autorzy i do jakiej uda się dotrzeć. Uważam, że czasem udaje mi się pokazać ciekawy tekst, ciekawe spojrzenie. Na temat fantastyki też się właściwie powiedziało wszystko; już nie należy się spodziewać żadnych rewolucyjnych koncepcji w teorii gatunku, w analizie tego, jak te światy są zbudowane - wszystko już zostało napisane, można najwyżej dodawać jakieś przyczynki. Można interpretować po nowemu stare dzieła, ponieważ zmienia się kontekst cywilizacyjny i to wpływa na recepcję. I to jest wszystko; ja swoje zadanie pojmuję dosyć skromnie. Zresztą krytyka jest taką przywieszką w tej gazecie, „Fantastyka" mogłaby doskonale bez mojego udziału dalej egzystować, ale uważam, że byłaby uboższa. Mówię często, że dział krytyki jest robiony dla 25% czytelników i to jest prawda. Dochodzą mnie jednak głosy, że czytelnicy, zwłaszcza ci bardziej zaawansowani, zaczynają lekturę pisma właśnie od działu krytyki, od recenzji, a dopiero potem przechodzą do opowiadań. Jak ja słyszę coś takiego, to jestem zachwycony - leją mi miód na serce takie opinie.

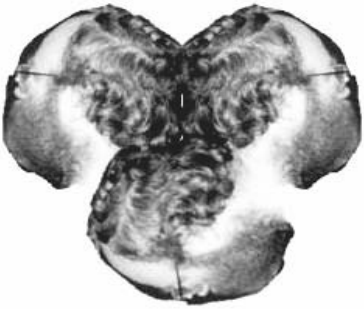

BRACIA ORAMUSOWIE

Maciej Guzek

Melodie Śródziemia

„Muza nie pozwala umrzeć człowiekowi sławnemu - mawiał rzymski poeta, Horacy. Mam wrażenie, że w wypadku J. R. R. Tolkiena, nie jedna muza dba o niego, a cały ich zastęp. Wystarczy wspomnieć Johna Howe, Cor Bloka i innych rysowników, inspirowanych przez świat Śródziemia. Starczy zwrócić uwagę na kolejne, „zaginone" czy „niedokończone" opowieści, które ukazują się mimo tego, że Mistrz nie żyje od z górą dwudziestu lat, jak również na całą masę tzw. tolklonów, czyli powieści fantasy bezwstydnie powielających (i spłycających) pomysły Tolkiena. Niedawno dowiedziałem się, że i dziesiątej muzie Mistrz nie jest obojętny - jak podaje Nowa Fantastyka, pierwszą część trylogii będzie można zobaczyć na ekranach kin już w 2000 roku. Nie dziwi więc, że i w muzyce Śródziemie jest wciąż obecne. Zwłaszcza, że nieraz już kompozytorzy tworzyli pod wpływem dzieł literackich, a literaci inspirowali się muzyką.

W pałacu króla elfów czyli „BILBO"

Bywa, że muzyk tworzy całą płytę w oparciu o fantastyczny świat Tolkiena. Projekt BILBO moze być tego najlepszym przykładem. Jego autorami są szwedzcy muzycy Par Lindh i Bjorn Johansson. Muzycznie określić go można jako kolaż rocka, szczególnie rocka symfonicznego i muzyki folkowej. Gdzieniegdzie pobrzmiewają echa muzyki dawnej, barokowej, tu i ówdzie można nawet odnaleźć ślady funky. Płyta inspirowana jest, co przyznają sami autorzy, powieścią „Hobbit". Ma ona stanowić muzyczną ilustrację przygód sympatycznego niziołka. Z tego zadania wywiązuje się znakomicie. Pełno w niej urozmaiceń, niezykle bogate i przemyślane aranżacje spotykają się z brzmieniami ludowymi - wszystko po to, by jak najlepiej oddać swoisty klimat Śródziemia. Klawisze, kobiecy wokal, delikatne dźwięki gitary akustycznej, plusk kropel, powiewy wiatru… Jest tu dosłownie wszystko i to dobrane we właściwych proporcjach. Całość jest niesamowicie sugestywna, zwłaszcza, że warstwa tekstowa jest silnie powiązana z powieścią. BILBO przenosi nas do Shire, Rivendell, prowadzi przez ciemne jaskinie i pozwala dotrzeć na dwór króla elfów. Lindh dokonał rzeczy niesamowitej - udało mu sięzawrzeć w muzyce cząstkę magii opowieści Tolkiena.

Bardowie Śródziemia czyli „BLIND GUARDIAN"

Jeszcze ciekawszą, niż BILBO propozycją, jest, według mnie płyta niemieckiego zespołu metalowego BLIND GUARDIAN, nosząca tytuł NIGHTFALL IN THE MIDDLE EARTH. Jest to tzw. koncept-album, poszczególne teksty łączą się ze sobą tworząc jedną opowieść, która, co przyznają muzycy, została napisana w oparciu o Silmarilion. Zespół, by przekaz był pełniejszy, zadbał by z treścią albumu współgrała oprawa graficzna. Co więcej, narracje, łączące poszczególne utwory, zostały odczytane, przez angielskich aktorów, grających w sztukach Szekspira. Efekt jest naprawdę piorunujący. Patos, rycerskość charakterystyczna dla grup heavy metalowych, wspa-

niałe melodie, pobrzmiewająca tu i tam folkowa nuta oraz przytłaczające, monumentalne chóry przenoszą nas w świat pełen elfów, heroicznych bitew i minstreli. Śródziemie żyje, ważą się losy ras, dobro i zło biorą się za łby a my możemy to wszystko oglądać… dzięki muzyce BLIND GUARDIAN. Dodatkowego smaku dodaje głos wokalisty, wzniosły uduchowiony, czysty… jak głos prawdziwego barda. Zwłaszcza gdy śpiewa przy akompaniamencie delikatnej gitary czy pianina. Wbrew temu, co czasem zarzuca się metalowi, muzyka w tym przypadku nie jest uboga toteż każdy miłośnik Tolkiena, lubiący trochę cięższe granie winien po nią sięgnąć, jak zresztą po wcześniejsze wydawnictwa BLIND GUARDIAN. Na jednym z nich znajduje się utwór LORD OF THE RINGS, będący parafrazą słynnego wstępu do WŁADCY PIERŚCIENI (Trzy pierścienie dla królów elfów pod otwartym niebem…).

Czarne wieże Saurona czyli „SUMMONING"

Czarne sztandary powiewają na wietrze, zło budzi się z uśpienia, zastępy krwiożerczych orków ruszają do boju… - takie obrazy przywołuje muzyka austriackiego duetu SUMMONING, kolejnego zespołu metalowego, który oparł swą twórczość, a także image, na prozie Tolkiena. Trzy kolejne albumy tej formacji noszą wymowne nazwy LUGBURZ, MINAS MORGUL i DOL GULDUR. Teksty czerpią głównie z WŁADCY PIERŚCIENI. Słuchając muzyki SUMMONING spogląda się na rzeczywistość Śródziemia jakby z drugiej strony, z perspektywy orka czy nawet samego Saurona, bowiem SUMMONING to black metal - muzyka brutalna, ostra, chropowata… wręcz złowroga. Jak na black metal Austiacy tworzą muzykę ciekawą i oryginalną (Tolkien uszlachetnia ?!), wartą posłuchania. Sporo mrocznych parti klawiszowych i przebijające od czasu do czasu, folkowe melodie powodują, że mimo schematyzmu, SUMMONING nie nuży. Groźną, chwilami upiorną atmosferę podkreśla rozdzierający, jazgotliwy głos wokalisty.

Straszny jest Mordor czyli… „MORDOR"

Częstochowski zespół MORDOR jest przykładem, że wpływ Tolkiena na muzykę nie ominął naszego kraju. Na pierwszej płycie tej znakomitej grupy znaleźć można utwór pt. THE KINGDOM OF MORDOR. Choć muzycznie pozostawia on wiele do życzenia, to dzięki niskim, brutalnym wokalom i mrocznej lini melodycznej zawiera w sobie istotę ponurej i czarnej krainy zła. Warto dodać, że na kolejnych albumach zespołu, choć teksty nie wiążą się bezpośrednio z prozą Tolkiena, to specyficzna atmosfera Śródziemia, nadal jest wyczuwalna. Pełno w tej muzyce epickości, mocy i piękna widocznego dopiero po bliższym poznaniu. Każdy album zawiera również podziękowania dla J.R.R. Tolkiena za inspirację.

A imię me Grishnack czyli NAZWY

Wiele grup korzysta z dźwięcznych wymyślonych przez Tolkiena słów. Bywa, że muzycy przybierają imiona zaczerpnięte z kart TRYLOGII czy HOBBITA (na przykład GRISHNACK, założyciel norweskiej kapeli BURZUM). Często zespoły metalowe w twórczości Mistrza poszukują nazw. Być może dlatego, że każde niemal imię czy nazwa geograficzna ma określone zabarwienie emocjonalne. I tak mamy

grupy takie jak MORGOTH, ISENGARD, GORGOROTH, LORIEN czy MORDOR.

Podobnie wygląda sytuacja w rocku progresywnym. Ta rozbudowana, przemyślana, zazwyczaj uduchowiona muzyka siłą rzeczy kojarzy się z fantastyką., często zresztą muzycy przyznają się do takich właśnie fascynacji literackich. Wiedząc to, nie mogą dziwić nazwy takich "progresywnych" bandów jak ARAGORN, czy sławny (sil)MARILLION. Tolkien często bywa kojarzony również z muzyką folkową. Nie bez podstaw. Folkowo - fantastyczny (patrz pierwszy numer Innych Planet) zespół RIVENDELL, jest tego najlepszym przykładem.

…muzyka płynie z głośników. To spokojna jak powiew wiatru, to ciężka jak walec… Chyba każdy byłby w stanie znaleźć coś dla siebie.

Mistrzu, szkoda, że niczego już nie napiszesz… Dobrze, że na osłodę mamy choć trochę dobrej muzyki.

Prawdę rzekł Horacy. Non omnis moriar…

Ma.G.

WENUS - STAROITALSKA BOGINI WIOSNY I OGRODÓW, RZYMSKIE WCIELENIE GRECKIEJ AFRODYTY - BOGINI MIŁOŚCI, PŁODNOŚCI, PIĘKNOŚCI I ŚWIATŁA GWIAZDY ZARANNEJ. PODLEGAŁY JEJ GRACJE (HORY, BOGINIE WDZIĘKU) ORAZ PEITO (NAMOWA), POTOS (TĘSKNOTA) I HIMEROS (POŻĄDANIE). KULT WENUS ROZWINĘLI W I W. N.E. SULLA, CEZAR I OKTAWIAN AUGUST. **WENUS** TO TAKŻE NAZWA PLNETY ZNANEJ JUŻ W STAROŻYTNOŚCI - DRUGIEJ OD SŁOŃCA W NASZYM UKŁADZIE PLANETARNYM.

RECENZJE

Wojtek Szyda

Wolski kinetyczny

Lektura najnowszej powieści Marcina Wolskigo „Według św. Malachiasza" przypomina jazdę na łyżwach - mkniemy po lodowej tafli, lekko i bezrefleksyjnie, nie zastanawiając się co czai się w głębi zamarzniętego jeziora. Tak naprawdę owej głębi brak, czytadło Wolskiego można przyrównać najwyżej do wielkiej, zamarzniętej kałuży. Miejscami lód pomalowany jest imponerską farbą, czyta się to więc przyjemnie (tzw. proste przyjemności) - niestety, brak w książce jakże potrzebnych literaturze przerębli, a jeśli są - toń, którą nam oferują okazuje się jeno kilkucentymetrową, błotnistą breją. W rezultacie pędzimy do przodu, ale zawsze po powierzchni.

„WśM"(dobry tytuł!) to książka dziwna. Wolski próbuje się wpisać w gorączkę millenarystycznej neurozy (przepowiednie!) - „śmieszy, tumani, przestrasza". Prolog jest dość obiecujący. Później zaczyna się komercha - papierowi bohaterowie (z czego jeden jest, niestety, narratorem), tania sensacja, parapsychologiczne brednie, mafie, spiski, voodoo - jednym słowem „Polsat"! Impresario MW serwuje czytelnikom mało oryginalny repertuar z popkulturowego arsenału, w dodatku wymieszany w niewybredny melanż *a la* „Życie na gorąco". Fabuła schematyczna, zbudowana z szablonów (quasi-pastiszowych przebitek-kalkomanii). Psychologia bohaterów żadna, zupełnie jakby nie z krwi i kości byli, jeno z drukarskiej farby i kolorowego papieru. „Malachiasz" to proza behawiorystyczna (Oramus rzekłby: „ki-

netyczna") - potacie Wolskiego są płytkie jak miska dla psa, maksimum działania, minimum refleksji. Przypomina się dowcip: Spotyka się dwóch psychologów-behawiorystów: - „U ciebie wszystko OK" - mówi jeden. Po czym dodaje: - „A co u mnie?..."

Nie jest to książka zła. Jest przeciętna. Ot, barwne czytadło z ambicjami. Niektóre sceny i rozwiązania kompozycyjne są niezłej próby (retrospektywne dygresje, rozdział o św. Malachiaszu). Wolski umie zaimponować rozmachem wizji - nadaje powieści popkulturową epickość *a la* James Bond, wszak bohatrowie grają o losy świata. Ozdobą są też „grepsy" poprzedzające każdy rozdział, będące przejawem kabaretowej błyskotliwości Wolskiego. *Exemplum*: „Schodząc na złą drogę zawsze możemy pocieszać się jej dobrą nawierzchnią". Klasą samą dla siebie jest aforyzm: „Z punktu widzenia kreta nieba nie ma. Z punktu widzenia nieba kret to kretyn." Lepsze to niż nieznośny, cukierkowy *happy-end*, w którym Wolski znów moralizuje - jednak tym razem z niepotrzebną, dydaktyczną nachalnością.

W sumie trzy plus.

Wojtek Szyda

Marcin Wolski „Według św. Malachiasza", SuperNowa 1999.

„Uczciwe kobiety są posłuszne, a pod nieobecność męża nie poufalą się z innymi mężczyznami. Żonę upartą naprzód ostrzegaj, potem wyrzuć z sypialni i bij, a gdy cię znowu słucha, nie dręcz jej - Allah jest wspaniałomyślny".

(Koran, 4,38, Mahometa)

Islamski humanizm?

Maciej Guzek

Coś się skończyło

Piąty tom sagi o wiedźminie trafił (po dłuższym niż zwykle oczekiwaniu) na półki księgarń, a zaraz potem w ręce tysięcy czekających w gorączce fanów. „Pani Jeziora" do dziś okupuje pierwsze miejsca list bestsellerów. Tej ekscytacji trudno się zresztą dziwić, zważywszy na to, że wszelkie wątpliwości miały zostać rozwiane, wszystkie wątki zakończone. Wszak to ostatni tom sagi.

„Pani Jeziora" jest zarazem warta i niewarta oczekiwania. Warta - bo to znakomita książka. Kawał świetnej literackiej roboty, popis pisarskiego kunsztu. Trzyma w napięciu od zagadkowego początku, do samego dwuznacznego końca. Pięćset dwadzieścia stron mija niepostrzeżenie. Mnie przeczytanie ostatniego wiedźmina wyrwało z życia jeden dzień - od rana do późnego wieczora. Autor zdradza niejedną tajemnicę, pewnie prowadzi bohaterów, wątki zbiegają się i rozwiązują. Jeśli czegoś nie wyjaśnia, to są to sprawy poboczne, mniej istotne, choć ciut więcej uwagi mogłoby być poświęcone elfom - Nimue stwierdza, że udało im się otworzyć Drzwi i odejść. Ale jak mogły tego dokonać bez Ciri? No, ale to są, jak pewnie rzekłby sam autor, duperele. W tym tomie kończy się wojna, którą Sapkowski ocenia jednoznacznie jako bezsensowną. Zresztą i co do pokoju nie ma on złudzeń - ten również wymaga ofiar. Wśród postaci drugoplanowych trup ściele się gęsto, lecz trudno - zakończenie serialu ma swoje prawa. „Pani Jeziora" zaspokaja w większości czytelniczy głód, niejednokrotnie potwierdzając krążące po fandomie spekulacje - jak choćby te dotyczące tożsamości cesa-

rza Nilfgaardu. Co więcej, czyni to autor w znakomitym stylu. Warsztat bowiem ma Sapkowski doskonały. Jeśli jego pisarstwo jest po trosze, jak sam stwierdził na jednym ze spotkań, rzemiosłem, jest to z pewnością rzemiosło artystyczne. Żonglerka czasem i żywa, jędrna polszczyzna sprawiają że powieść czytamy jednym tchem. Jak Ciri podróżuje między wymiarami, tak Sapkowski skacze od mitu do mitu. To czerpie z sagi arturiańskiej, to kłania się mitologii skandynawskiej, to znów zahacza o Biblię, cytując kawałek księgi Koheleta. Pojawiają się aluzje do Sienkiewicza, Tolkiena, niektóre pomysły przypominają „Amber" Zeleznego, opis wkraczającego do twierdzy Stygga cesarza Emyhra przywodzi na myśl Lorda Vadera, a Leśny Dziadek to, być może, ukłon w stronę „Kajka i Kokosza". Powieść nie jest jednak bezmyślnym kopiowaniem, kalką cudzych pomysłów. Nawiązania stanowią raczej urozmaicenie, są grą z odbiorcą w odgadywanie i przekręcanie znanych opowieści. Sapkowski kpi sobie przy tym w żywe oczy z tych, którzy twierdzą, że np. korzystanie z wyrazów łacińskich jest w powieści fantasy niedopuszczalne. W „Pani Jeziora" światy i kultury przenikają się, wszystko jest względne. Ludzie zarówno w świecie Ciri jak i w innych zdają się pochodzić z tego samego pnia. Dlaczego język nie miałby ewoluować w podobny sposób? Nie stroni też Sapkowski od poważnych, uniwersalnych problemów, które - to kolejny atut - odarte są z patosu i zadęcia, dzięki czemu stają się prawdziwsze, bliższe. Szczególnie wyraźny jest motyw przemijania. Zdanie - motto, „Coś się kończy, coś się zaczyna" powtarzane przy każdej niemal okazji wbija się w pamięć, niepokoi, niesie z sobą potężny ładunek nostalgii. Bo „Pani Jeziora" jest książką smutną w nastroju. Czyżby autorowi, wbrew temu co mówi, żal było rozstać się z bohaterami, z cyklem pisanym przez lata? Niemniej jednak została furtka - jeżeli zakończenie odnieść do mitu arturiańskiego i Avalonu, w którym przywódca rycerzy Okrągłego Stołu wciąż żyje… to jest nadzieja, że Geralt nie dokonał żywota. Ale czy na pewno?

W moim przekonaniu „Pani Jeziora" to z całej sagi książka najsprawniej napisana i najciekawsza. Pisarstwo Sapka przeszło ewolucję. Piąty tom serii to według mnie, obok „Gar`Ingawi" A.Borkowskiej, najlepsza polska fantasy. Niemniej jednak, jak powiedzieliby komentatorzy sportowi, trzeba do tej kadzi miodu dorzucić łychę dziegciu. W pewnym sensie nie warto było czekać na „Panią Jeziora". Dlaczego? Otóż powiedzmy sobie jasno - WIĘCEJ WIEDŹMINÓW NIE BĘDZIE!. Koniec, szlus, ende, fin, game over! A był to jeden z moich ulubionych cykli fantasy. W dodatku był nasz!

Pewna era w polskiej, ubogiej i kulejącej fantasy dobiegła kresu. Coś się skończyło. Ale jednocześnie…

Coś się zaczęło

„Coś", czyli przygody prostego zbója, Twardokęska, i zagadkowej wojowniczki Szarki. Jak to w fantasy bywa, wyruszają w podróż (jaki jej cel dowiemy się w następnych tomach, mam nadzieję), podczas której przyłącza się do nich czarownica, niebezpieczeństwa czekają na każdym kroku (jakże by inaczej), przy czym Szarka dodatkowo musi uważać na Twardokęska, bo jej pomocnik bynajmniej do lojalnych nie należy. Złowroga, apokaliptyczna, przepowiednia wisi nad ową krainą, a jej ramieniem zdaje się być główna bohaterka (brzmi znajomo, nieprawdaż?). Gdy kompania Szarki dociera do miasta, gdzie kończy się

tułaczka, z miejsca wpada w wir ohydnych intryg, z których jednak wychodzi (a to niespodzianka) obronną ręką.

Tak kończy się książka pt. „Zbójecki Gościniec" - pierwsza część nowego cyklu fantasy, którego autorką jest Anna Brzezińska. Powieść pojawiła się na rynku niemal równocześnie z „Panią Jeziora". Promuje ją ta sama oficyna, która wydaje utwory Sapka. Z notki zamieszczonej z tyłu „Pani Jeziora" można dowiedzieć się, że A. Brzezińska to nowa „supernowa" polskiej fantastyki. Krótkie streszczenie również jest obiecujące. Książka na listach sprzedaży fantastyki depcze po piętach ostatniemu wiedźminowi. Czy więc po polskim Tolkienie (Sapku rzecz jasna) doczekaliśmy się polskiej Ursuli Le Guin?

Niezupełnie. Ani stylistyka ani tym bardziej ranga powieści na takie stwierdzenie nie pozwala. Obawiam się, że wielu tych, którzy zaufali wydawnictwu SuperNOWA może się do owej serii zniechęcić, po pierwszym jej tomie. „Zbójecki gościniec" z pewnością nie jest tej miary wydarzeniem co „Ostatnie życzenie", rozpoczynające cykl wiedźmiński.

Przede wszystkim książka sprawia wrażenie niedopracowanej stylistycznie. W fantasy, jak wiadomo, prochu się nie wymyśli. Tym większą wagę winno się, jak myślę, przywiązywać do warsztatu. U Sapka jest on rewelacyjny, tymczasem u Brzezińskiej kuleje. Ciekawy jest sam pomysł, by fantasy napisać archaizowaną polszczyzną, lecz często miałem wrażenie, że stylizacja robiona jest siłowo, przez co traci na autentyzmie. Poza tym tak intensywna stylizacja dla czytelników (słyszałem takie opinie), może być uciążliwa. Jak mawia Mistrz, archaizacja pełni w powieści rolę przyprawy, sosu Tabasco. Ilu znajdzie się amatorów na całe wiadro takiego specjału? Podobnie rzecz się ma jeśli chodzi o imiona. Cieszy słowiańskość nazw, imion, świat wykreowany przez Brzezińską staje się przez to bar-

dziej swojski. Niektóre miana są jednak po prostu nieudane, zwyczajnie nie brzmią (np. Zarzyczka, Czerwieniec, Uchacz, Lizęga, Zwajcy - chciałoby się rzec jajca). A imię Wężymord (a może Wężymorda?), szczerze mówiąc, miast grozy wywołuje uśmiech. W nadawaniu imion przydałaby się też konsekwencja i logika. Skoro w Spichrzy jej mieszkańcy noszą słowiańsko brzmiące imiona (Jasenka, Krawsęk) czemuż to książę zwie się Evorinth? Czyżby był obcokrajowcem?

Najpoważniejszy zarzut dotyczy bohaterów. Zarówno głównych, jak i tych z drugiego planu. W moim odczuciu są płytcy, prymitywni, trochę sztuczni. Twardokęsek sprawia momentami wrażenie bardziej szympansa niż człowieka. Myśli w kategoriach - jeść pić, spać, niebezpiecznie - to uciekać! Jak się było zbójcą przez długie lata, można być cynicznym, ale żeby nie mieć żadnych wątpliwości? Poza tym w jaki sposób zdobył Twardokęsek sławę? Przy jego intelekcie nie powinien przeżyć o zbójeckim chlebie nawet roku (pojmany, ochoczo przyznaje się do popełnionych przestępstw - cóż za zaskakująca szczerość). Szarka, druga istotna postać powieści, choć interesująca i tajemnicza, momentami sprawia wrażenie rozkapryszonej panny i tak naprawdę nie wiadomo, jaki cel ma jej wędrówka. Od czasu do czasu zamienia się też w seksowny kombajn koszący wrogów jak zboże. Taki Geralt w spódniczce (że o Ciri nie wspomnę). A może by tak wymyślić coś innego? Najgorsze wrażenie sprawiają zaś kapłani, od których na kartach „Zbójeckiego gościńca" aż tłoczno. Jeden w drugiego są albo chytrzy, albo głupi, albo chciwi albo podli. Albo wszystko naraz. Takimi bzdurami jak wiara czy obrzędy głowy nie zaprzątają, koncentrując swą uwagę na bogaceniu się i pociąganiu za sznurki wszelkich możliwych knowań. Za to wiedźma, a jakże by inaczej, jest dobra, wierna i jedyne czego potrzebuje to miłość (???) Twardokęska. Niestety, źli księża za wszelką cenę chcą ją spalić… - No Comments.

Na plus trzeba zaliczyć konstrukcję powieściowego świata. Nie jest on co prawda tak porywający jak Nigdylandia Sapka, ale za to jest oryginalny, można rzec, w pewnym stopniu nowatorski. Interesująco wygląda koncepcja tamtejszych bogów, nieźle prezentuje się również mozaika państewek i narodów. Dodatkowy atut to zwierzołaki - całkowicie inny od ludzi, gatunek myślący, to w fantasy rzadkość. Trzeba też przyznać, że ostatnie sto stron czyta się znacznie lepiej niż pierwsze dwieście. Jednakże zakończenie jest trochę chaotyczne i, niestety, niczego nie kończy. Ale cóż, prawo serii…

I kilka słów na koniec. Nie chciałbym, by Autorka odebrała tę krytykę jako celowe i bezwzględne mieszanie z błotem. Sam takiego typu recenzowania nie cierpię. Mam nadzieję, że zastanowi się nad niektórymi uwagami. Po prostu chciałbym by polska fantastyka prosperowała co najmniej jak Microsoft, czy kapłaństwo Fei Flisyon w „Zbójeckim gościńcu". Jak już stwierdziłem, jest tam kilka dobrych pomysłów, dobrze by było jednak poświęcić im więcej uwagi, wysiłku, pracy. Wtedy być może Anna Brzezińska zasłuży sobie na miano następczyni A.Sapkowskiego. Być może…

Na miejscu SuperNOWEJ większe nadzieje pokładałbym jednak w Ewie Białołęckiej.

Maciej Guzek

PS. Klub fantastyki Druga Era składa obu autorom podziękowania za akcję promocyjną. W obu powieściach pojawia się nazwisko DERKACZ. Tak właśnie nazywa się nasz prezes.

Joanna Wołyńska

Saga o Celtach, cz. I

Od pewnego czasu świat przeżywa kolejny renesans celtycki. Nie jest to nic nowego: zainteresowanie Celtami powraca co jakiś czas od mniej więcej dwóch tysięcy lat, przybiera tylko różne formy. Celtowie stają się modni za każdym razem, kiedy do głosu dochodzą ruchy romantyczne, a pandemia New Age niewątpliwie się do takowych kwalifikuje.

Celtów wielbi więc jakieś dziesięć procent społeczeństwa, a pozostałe dziewięćdziesiąt zadaje sobie jedno pytanie: kim oni są, do cholery?

Bo na zdrowy chłopski rozum, jeśli zajrzy się do jakichś źródeł, pod warunkiem, że się takowe po polsku dostanie, można przeżyć drobną konfuzję, bo jedyna rzecz, którą na pewno wiadomo o Celtach to fakt, że ich nie ma. Współczesne narody pochodzenia celtyckiego to jednak nieco inna bajka.

Celtowie byli i to bardzo intensywnie, zaznaczając swą obecność w całej Europie podczas pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem. W przeciwieństwie do kultur równoległych: Grecji i Rzymu, nie zostawili po sobie źródeł pisanych, z których przyszłe pokolenia mogłyby czerpać o nich wiedzę. Wszelkie teksty dotyczące wierzeń i życia tej nacji spisane zostały albo przez ludzi etnicznie obcych, albo parę setek lat po upadku celtyckiego imperium. Źródła greckie jeszcze można uznać za w miarę obiektywne, rzymskie natomiast, a zwłaszcza zaś pamiętniki Cezara z podboju Galii, mają taką samą wartość jak pisma mnichów hiszpańskich nawracających Indian w XVI wieku. Czyli: po przebiciu się przez masę propagandy i przekłamań można dowiedzieć się czegoś interesującego. Ale niekoniecznie zgodnego z prawdą. Źródła niepisane zaś, czyli archeologiczne, dostarczają faktów suchych, popartych autorytetem izotopu C14, które można zinterpretować na wiele sposobów. Ostatnio pewien Anglik zakwestionował w ogóle istnienie Celtów.

Do kilku wniosków jednak naukowcy zdołali dojść. Po pierwsze, Celtowie byli jednym z najstarszych ludów indoeuropejskich. Mieli całkiem sporo cech wspólnych z Ariami, ludem uważanym za ten, który dał początek Indoeuropejczykom (czyli ludom, które z terenu dzisiejszych Indii rozeszły się na całą niemal Eurazję). Z niewiadomych powodów Celtowie zaczęli migrować na zachód i około roku tysięcznego p.n.e. dotarli do Europy, gdzie szybko stali się kulturą dominującą. Miły ten lud posiadł sekret wytopu żelaza i używał go do wytwarzania wyjątkowo skutecznej broni.

Między X a V w. p.n.e. Celtowie powoli, ale skutecznie zasiedlali Europę. Można swobodnie mówić o imperium celtyckim, które rozciągało się od Galacji w Azji Mniejszej przez Bohemię i okolice Jury Krakowsko - Częstochowskiej po Galicię na Półwyspie Iberyjskim, o Wyspach Brytyjskich nie wspominając. Wtedy to Celtowie nawiązali kontakty z Grekami, Grecy też nadali im imię, pod którym ich teraz znamy: Keltoi znaczy tyle, co „obcy".

Na pewno byli obcy uporządkowanym i lubującym się w harmonii Grekom: jako lud koczowniczy nie budowali miast. Celtowie swą ekspansywność zawdzięczali koniom: potrafili w krótkim czasie zwinąć

nawet dużą osadę i przenieść się w inne miejsce. O tym, jak ważną rolę odgrywały wozy i konie w ich życiu, niech świadczy fakt, że zmarłych władców celtyckich układano na wozach, nad którymi usypywano kamienny kurhan. Pierwszym ważnym nowożytnym znaleziskiem archeologicznym był mały, brązowy wóz zaprzęgnięty w parę małych, brązowych koni.

Byli świetnymi wojownikami, często najmowali się do służby w obcych armiach i podróżowali: w Aleksandrii odnaleziono na murach inskrypcje głoszące w przybliżeniu, że „Conal tu był" (Conal to wyjątkowo popularne imię celtyckie). I choć mieli we władaniu kontynent, nigdy nie stworzyli regularnej państwowości: jeden z najwybitniejszych celtologów, Irlandczyk Proinsias Mac Cana, twierdzi nawet, że Celtowie byli zlepkiem wielu różnych etnicznie plemion, które posiadały jednak świadomość wspólnej kultury, wierzeń i języka. Tej federacji udało się jednak na początku IV w. p.n.e splądrować Rzym. Jak mieli się boleśnie przekonać trzysta lat później, Wieczne Miasto nie zapomniało tej zniewagi.

Ich system społeczny był demokratyczny w pełnym tego słowa znaczeniu: władzę sprawowali królowie obierani przez lud, nie obowiązywało prawo primogenitury, co więcej, wszystkie nieślubne dzieci uznawano za dzieci królewskie. Ta demokracja stanowiła też ich największą słabość, bo w starciu z wyszkoloną rzymską armią okazali się bezsilni. Spychani ze swych ziem, ulegali szybkiej romanizacji, tworząc coś, co zwykło się określać mianem kultury galoromańskiej. Jedynym bastionem Celtów stały się Wyspy Brytyjskie, a ściślej: Irlandia. Tam kultura czysto celtycka przetrwała do roku 432 n.e., w którym to święty Patryk przyniósł Erynowi Słowo Boże.

Nie pozostawili żadnych źródeł, w których pisaliby sami o sobie. Prawo druidów zakazywało utrwalania wiedzy na piśmie; cała historie, mitologię i wyjątkowo rozbudowane prawodawstwo przechowywali w głowach druidzi, czyli kapłani, brehoni, czyli prawnicy i filidzi, czyli poeci. Dopiero po założeniu w Irlandii klasztorów mnisi spisali wszystko, co dotychczas przekazywano wyłącznie ustnie. Podobno biblioteka w Dublinie przechowuje dziesięć tysięcy woluminów, spisanych po staroirlandzku.

To mity właśnie, obok wiedzy o wytopie żelaza, pierwszej w Europie sieci dróg (bo to Celtowie, nie Rzymianie zaczęli budować drogi), kolczugi i wielu innych celtyckich wynalazków, sprawiły, że kultura zwana europejską wygląda dziś tak, a nie inaczej. One bowiem dały początek najważniejszym legendom chrześcijańskiej Europy, legendom, które inspirowały królów do wyruszania na krucjaty: cyklowi opowieści o królu Arturze i Rycerzach Okrągłego Stołu.

Tak w bardzo dużym skrócie wygląda ogólny zarys ich historii. Ich wierzenia, struktura społeczna, historia narodów celtyckich i ich walki o niepodległość to inna opowieść.

„Mężczyzna zasługuje w najlepszym wypadku na to, żeby go utopić".
Catherine Mansfield

„Tylko głupiec buduje dom na piasku, a szczęście na sercu kobiecym"
Seneka

POLEMIKA

– Czy w Twojej kuchni wisi krzyż?
–Nie.
– A odwrócony Krzyż?
– Też nie.
– A co wisi?
– Nic. Lampa.
(fragment telewizyjnego wywiadu z Romanem Kostrzewskim, wokalistą „satanistycznego" zespołu Kat).

Rozzłościł mnie i zasmucił zarazem wywiad z niejakim Tomaszem Budzyńskim, który zajął aż pięć stron poprzedniego numeru „Innych Planet". Rozłościł sam Budzyński, zasmucił - fakt ukazania się tych bredni w tak dużej objętości, w piśmie, w którym i ja pisuję.

Odnoszę wrażenie, że osobnik ten cierpi na manie prześladowczą, bo tylko tym moge wytłumaczyć sobie odkrywanie dzieła szatana we wszystkim dookoła, z muzyką i internetem na czele. Bogu dzięki - czy używam tego imienia nadaremno? - nie żyjemy w czasach inkwizycji, bo ze swoją gotowością do wypędzania demonów z ciał zabłąkanych owieczek Budzyński niechybnie stanąłby na czele jakiejś komórki tej instytucji. Jako osoba, której nie przyświecają ideały chrześcijańskie, nie jestem zainteresowana takim rozwiązaniem. Nie lubię, gdy winą za głupotę ludzką obarcza się czynniki zewnętrzne, (słowami diabeł, demon, szatan Budzyński szasta bez opamiętania).Co się tyczy obecności diabła w internecie, to wartość liczbowa 6 odpowiada w alfabecie hebrajskim literrze waw, którą w języku angielskim transkrybuje się jako v, a nie w. Nie lubię też, gdy ktoś uzurpuje sobie prawo do decydownia o tym, czego mam słuchać i co czytać.

Polecam uwadze dzieła C.G. Junga i *Najdalszy brzeg* Ursuli Le Guin. Jest tam mowa o cieniu, który towarzyszy każdemu człowiekowi w jego wędrówce przez świat, o cieniu, którego akceptacja jest warunkiem osiągnięcia pełni człowieczeństwa. Ale może pan Tomek w całości składa się z jasnej strony. Jeśli tak, to szczerze mu współczuję: pamiętam, jak płakał Piotruś Pan, gdy zatrzaskujące się okno urwało mu jego cień.

Iwona Michałowska

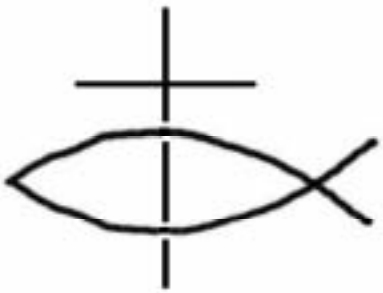

Rzekli do Jezusa Żydzi: teraz wiemy że jesteś opętany.

Ku uciesze autorów, wywiad z Tomkem Budyńskim wywołał chyba najwięcej komentarzy. Iwona Michałowska zareagowała bolesnymi słowami, ale wdzęczni jesteśmi, że publikacja w "Innych Planet" nie pozostawiła ją w obojętności. Publikujemy obszerne fragmenty jej polemiki. Za obronę naszego respondenta niech robi powyższy fragment z Ewangelii. Odnośnie akceptacji cienia, który towarzyszy człowiekowi, to chyba mogę w imieniu Tomka zapewnić, że akceptuje on w pełni naukę Kościoła o grzechu pierworodnym.

Krzysiek Głuch

METAFIZYCZNA BIBLIOTEKA

Jorge Luis Borges (1899 – 1986) to jedna z najznamienitszych gwiad na firmamencie współczesnej literatury iberoamerykańskiej. Ale pewnie też na nieboskłonie całego XX-wiecznego pisarstwa. Gwiazda świecąca własnym, niepowtarzalnym blaskiem, samotne słońce na południowej stronie nieba, poza konstelacjami. Oryginał. Mistrz krótkiej formy, potrafiący kondensować epickie pomysły do kilku stron, oszczędny ekonom słowa, wykwintny stylista; lecz także kuglarskie persyfalżysta, bawiący nas (a czasami irytujący) „postmodernistyczną" grą mitami, archetypami i toposami. Autor piszący „książki o książkach", uprawiający swoistą „literaturę literacką" – sam przyznawał, że jego życie nie obfitowało w wydarzenia niezwykłe, natomiast przeżył mnóstwo przygód wewnętrznych (pod wpływem lektury), i to go popychało do pisania własnych „metafizycznych fantazji". Zafascynowany folklorem argentyńskim (z czasem ta fascynacja mu osłabła), światem *gauchów*, Patagonią, przedmieściami Buenos Aire, pojedynkami na noże, potrafił przerabiać ów folklor na literaturę, wydobywając zeń to, co najbardziej niezykłe, magiczne. Był profesorem literatury, dyrektorem biblioteki – związał się z nauką i widział życie przez jej pryzmat, lecz ta humanistyczna wiedza była soczewką niezwykłą – pozwalała uzyskać magiczny obraz świata, który na stałe zamieszkał w wersach Borgesowskich opowiadań, miniatur i wierszy. Pod koniec życia Jorge Luis Borges zaczął ślepnąć – ostatnie lata spędził jako człowiek ociemniały. Twierdził, iż utrata wzroku przypomina oglądanie zapadającego wieczoru, od zmierzchu aż do ciemności, która w końcu przykryje wszystko. Podobnie jak Denis Diderot, Borges wyobrażał sobie raj jako Metafizyczną Bibliotekę, która udostępni ludziom ostateczną prawdę. Póki co starał się tropić ową prawdę w swoich książkach. „Powszechna historia nikczemności", „Zoologia fantastyczna", „Raport Brodiego", „Antologia osobista", „Fikcje", „Alef", „Księga piasku", „Twórca" – tam mieszka duch JLB (mówię o „tym świecie"). Kiedyś te historie mieszkały w nim.

(WS)

Jorge Luis Borges - M Y Ś L I

Borges o formach literackich: „Nowela jest naturalna, a powieść sztuczna, dlatego jej nie uprawiam (...) Układanie obszernych książek to pracowite i zubożające szaleństwo: rozwijanie na pięciuset stronach idei, której doskonały ustny wykład zajmuje kilka minut. Lepiej udawać, że takie książki już istnieją i przedstawiać ich streszczenie, komentrz."

Borges o słowach: „Konfrontacja słów i naszej złożonej i tajemniczej rzeczywistości dobywa na jaw całą ich nieudolność".

Borges o literaturze: „Chciałbym stworzyć kartę, która przejdzie do historii. Wydaje mi się, że jako pisarz popełniłem już wszystkie możliwe błędy, co zresztą jest jedyną drogą do prawdziwego pisarstwa (...) O literaturze powiem to, co można niewątpliwie rzec o duszy: każdy powinien osiągnąć zbawienie, a może je osiągnąć jedynie pokonując błędy

klub fantastyki Druga Era

przy Akademii Ekonomicznej w Poznaniu

ogłasza

Drugi Konkurs Literacki

tematycznie obowiązuje fantastyka,
czyli SF, fantasy, horror .... we wszelkich odcieniach:
space opera, cyber, gothic, erotic, deo, dark,
gore, political, trash, gwasz, pejzaż,
podobizna(np. w alabastrze),
kantyk (np. dla Leibowitza),
lemo-dramat, bajka (np. robotów),
dzienniki (np. gwiazdowe),
nowinki (np. obleśne),
pamiętnik (np. znaleziony w Saragossie)...

Teksty będą oceniane w dwóch kategoriach.

Kategoria I:
opowiadanie do 30 stron znormalizowanego wydruku (około 100 x 30 znaków na stronie, z podwójnym odstępem między wierszami) - nagrody:
I miejsce - 100zł oraz nagrody rzeczowe,
II miejsce - 50zł oraz rzeczowe nagrody,
III miejsce - 50zł i nie tylko.

Kategoria II:
miniatura literacka o długości do 999 słów (uwaga: dłuższe będą dyskwalifikowane) - nagroda główna i jedyna: 50 zł oraz dodatek branżowy.

Nagrodzone teksty zostaną opublikowane w czasopismach klubowych: *deZinformatorze* oraz *Innych Planetach*.

Każdy uczestnik może "wystawić" tylko po jednym wcześniej nie publikowanym opowiadaniu w każdej kategorii.

Termin nadsyłania prac: 15 października 1999 na adres:

Daniel Kosse
os. Stare Żegrze 79/12
61 – 249 Poznań.

Przyjmowane będą tylko wydruki lub maszynopisy, mile widziane dołączone dyskietki z tekstem w formacie txt lub doc.
Dodatkowe informacje: Daniel Kosse - tel. (061) 879 66 25,
e-mail: 2era@novci2.ae.poznan.pl, www: capella.ae.poznan.pl/~drugaera
Ogłoszenie wyników: 20 listopada 1999.

REKLAMA

UWAGA, UWAGA!!

Wszyscy zainteresowani archiwalnymi numerami „deZinformatora" i „Innych Planet" mogą je nabyć po następujących cenach:

„Inne Planety" nr 1 - 2 zł
„Inne Planety" nr 2 - 2,5 zł

„deZinformator" nr 1 - 0,5 zł
„deZinformator" nr 2 - 4 zł
„deZinformator" nr 3 - 2 zł
„deZinformator" nr 4 - 2 zł

koszty przesyłki - 1 zł
cena jest zależna od objętości numeru

pieniądze nalezy przesyłać przekazem pocztowym pod adresem:

Daniel Kosse
Os. Stare Żegrze 79/12
61-249 Poznań

Pamiętajcie! Gdziekolwiek jesteście Redakcja myśli o Was!

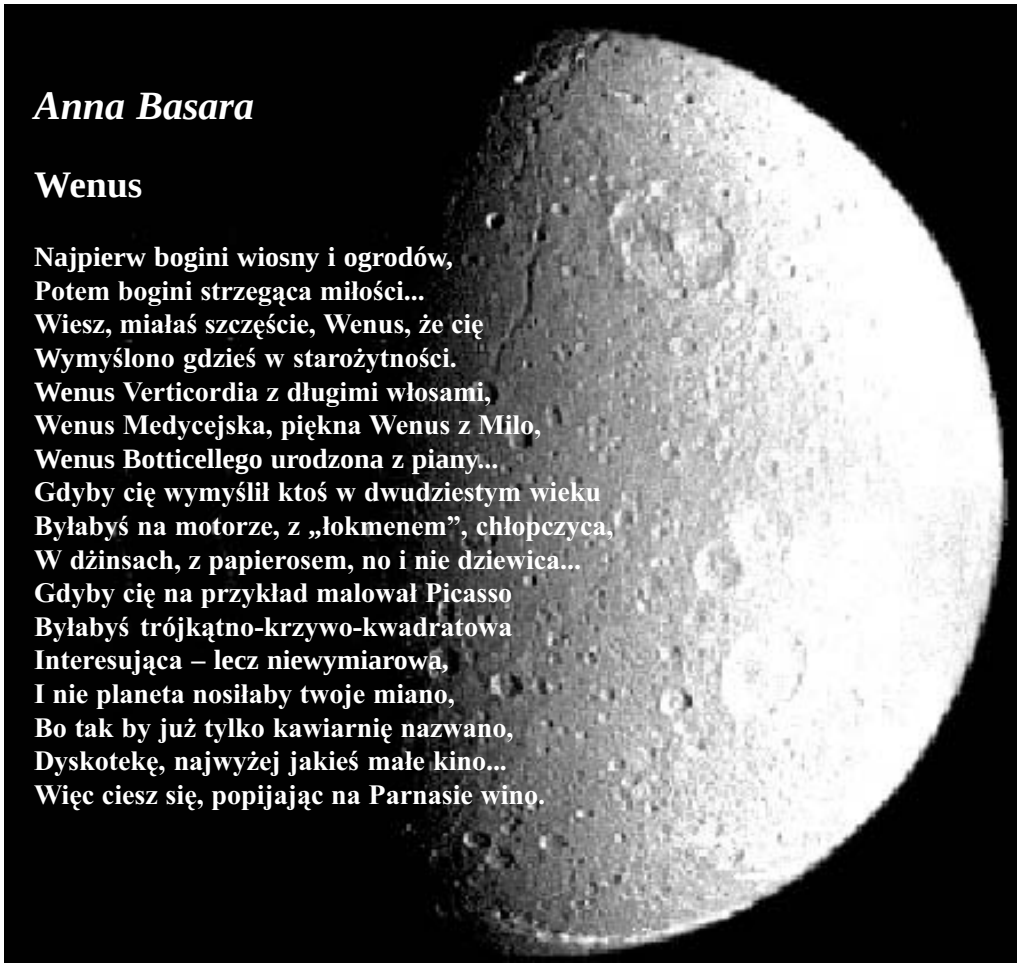

Anna Basara

Wenus

Najpierw bogini wiosny i ogrodów,
Potem bogini strzegąca miłości...
Wiesz, miałaś szczęście, Wenus, że cię
Wymyślono gdzieś w starożytności.
Wenus Verticordia z długimi włosami,
Wenus Medycejska, piękna Wenus z Milo,
Wenus Botticellego urodzona z piany...
Gdyby cię wymyślił ktoś w dwudziestym wieku
Byłabyś na motorze, z „łokmenem", chłopczyca,
W dżinsach, z papierosem, no i nie dziewica...
Gdyby cię na przykład malował Picasso
Byłabyś trójkątno-krzywo-kwadratowa
Interesująca – lecz niewymiarowa,
I nie planeta nosiłaby twoje miano,
Bo tak by już tylko kawiarnię nazwano,
Dyskotekę, najwyżej jakieś małe kino...
Więc ciesz się, popijając na Parnasie wino.

„Inne planety" to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era"** działającego przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
„Inne planety" redagują:
red. nacz.: Wojtek Szyda
red. d/s propagandy: Krzysztof Głuch
skład i wsparcie moralne: Piotr Derkacz
korekta i wsparcie estetyczne: Beata Sobiło
konsultant d/s absurdu: Tomasz R. Barczyk
Nakład: 300 egzemplarzy, oddano do druku w lipcu 1999
Wydrukowano dzięki uprzejmości Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Autorzy rysunków: Stach Sadowski - okładka i str. 13, 44, Maja Brzozowska - str. 4, 20, 25, 28, 34 , Sebastian S. z Olsztyna - str. 11.
Numer dedykowany planecie Wenus s
Pozdrawiamy producentów Jogurtów Prekognicyjnych z grzybem!